№ 37. Warszawa, dnia 31 Sierpnia (12 Września) 1885 roku.

TYGODNIK MÓD i POWIEŚCI

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60, kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie rs. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złotych reńskich 2 cen. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica Widok Nr 3.

OD REDAKCYI.

W przyszłym kwartale **Tygodnik Mód i Powieści** wychodzić będzie pod temi samemi co dotąd warunkami. Prenumerata, którą najlepiej uskutecznić za pośrednictwem samej Redakcyi, wynosi:

w Warszawie **kwartalnie rs. 1 kop. 80.**

Na prowincyi z przesyłką:

Kwartalnie. . . rs. 2 kop. 50
Półrocznie . . . rs. 5
Rocznie. . . . . rs. 10

NA PRZYJACIELA DZIECI

w Warszawie **kwartalnie rs. 1.**

Na Prowincyi z przesyłką:

Kwartalnie. . . . rs. 1 k. 25
Półrocznie . . . . rs. 2 k. 50
Rocznie . . . . . rs. 5

Nadmieniamy wreszcie, że przez Prenumeratorów tak **Tygodnika Mód jak i Przyjaciela Dzieci**, wychodzące zbiorowe wydawnictwo wszystkich dzieł A. Wilczyńskiego, autora **Kłopotów starego Komendanta**, po zniżonej cenie może być nabywane z opłatą za tom kop. 60. Dotąd wyszło ich 8, w ciągu roku wydanych zostanie 12. We wszystkich mieszczących się w nich opowiadaniach, widnieje szczery, niewymuszony, prawdziwie staropolski humor, z ową wrodzoną nam dobrodusznością, nader zręcznie przedstawioną.

Adres: Do **J. K. Gregorowicza**, w Warszawie przy ulicy **Widok** Nr **3.**

KAZIMIERZ BRODZIŃSKI.

PRZEZ

Sewerynę Duchińską.

(Dokończenie.)

IV.

Nawał prac literackich i profesorskich, nadwątlił siły Brodzińskiemu. Z porady lekarzy puścił się w podróż w końcu roku 1824. Wziął z sobą garstkę ziemi, nosił ją w woreczku na piersiach, by na wypadek śmierci:

Ktoś mu rodzinną ziemią potrząsnął powieki,
Takby lżej z miłem słońcem rozstać się na wieki.

Przebiegł poeta Tyrol i Szwajcaryą, zwiedził Paryż, zimę spędził we Włoszech. Z tej podróży, miłe jedno uniósł wspomnienie. Jadąc przez południową Francyą, znalazł się w dyliżansie z podróżnym francuzem, młodszym od siebie o jakie lat dziesięć. Długo jechali razem, żywą prowadzili rozmowę. Młodzian to był przyjemny, pełen wiadomości. Ze szczególnym zapałem mówił o dramatycznej literaturze hiszpańskiej. Poeta nasz nieśmiały z natury, nie zapytał go o nazwisko. Otóż w kilka lat później, przechodząc w Warszawie z przyjacielem koło jakiegoś składu rycin, spostrzegł wystawiony portret. Uderzyły go znane rysy, przypomniał sobie towarzysza podróży: był to sławny już Wiktor Hugo.

Ukrzepiony wypoczynkiem Brodziński, wiosną zabrał się z powrotem do kraju. Cudną pieśń rzucił na pożegnanie włoskiej ziemi:

Już wy mnie nie znęcicie hesperyjskie gaje,
Bez żalu wasz hołdownik, z wami się rozstaje,
Tak się od was oddalam, jak za rzymskich cza-
[sów,
Scyta dań wam złożywszy śpieszył do swych la-
[sów,
Wdzięcznie ku wam z gór wabiąc śmieją się go-
[ścinnie,

Oready (*) nad niemi kołyszą swe wieńce,
Wierzby płaczące spięte łańcuchy winnemi,
Nęcą płochych przybyszów do czarownej ziemi.
Tu kwitnących ogrodów zima nie zamrozi,
Próżno im z gór alpejskich śnieżnem czołem grozi;
Tutaj z niebem życzliwem ziemia sprzymierzona,
Niepilnej pracy, z lichwą odlicza nasiona.
Tu fortunny mieszkaniec, wśród oliwnych lasów,
Prózen troski przenuci dni swobodnych wczasów;
Tu życia pełen, życie z wszystkiego wysusza,
Tu kruszce głos wydają, z kamieni tchnie dusza:
Wszędzie piękność, wesołość, przyroda i sztuka,
Lecz nie ma, czego chciwie polskie serce szuka,
Nie ma błogiej szczerości i głębszego czucia,
Pełno zewnątrz okrasy a wewnątrz zepsucia.
Pyszne Pana świątynie, lecz pobożność płocha,
U nas w śniegach lud prościej, lecz żywiej Go ko-
[cha.
Tu ludzie w gruzach przodków igrają weseli,
Nic z nimi serce moje wspólnego nie dzieli;
Czulej w naszej Północy kochają swą ziemię,
Choć tam skąpiej natura posaży ich plemię;
Mniej darów ale duszę więcej mają tkliwą,
Rzewniej się jakoś kocha matkę mniej szczęśliwą.

Nie do lasów swoich, jak niegdyś Scyta wędrowny, powracał nasz poeta, ale do gwaru warszawskiego, do ksiąg, do pracy, do ulubionego stolika, a dodajmy jeszcze, do tej, którą ukochał całą duszą i nawzajem zdobył jej serce, ale o rękę jej daremnie dotąd czynił zabiegi. Z radością ujrzał się na własnej ziemi. Przybywa do Piotrkowa, podczas wypoczynku chwilowego, ściśnięty głodem wchodzi do oberży. Służba prowadzi go na piętro do sali jadalnej. Widzi długi stół, starannie nakryty, zasiada przy nim, chwyta „Kuryera Warszawskiego", czyta pilnie. Tymczasem sala zapełnia się gośćmi: byli to sami oficerowie. Żadnego z nich nie znał poeta, oni jednak znali jego pełne uroku pieśni, wiele z nich umieli na pamięć. Podczas obiadu, wszczyna się rozmowa o klasykach i romantykach. Obecny jenerał Antoni Potocki, podnosi z zapałem poezyą narodową, wspomina ze czcią imię Brodzińskiego; ktoś inny deklamuje Legionistę. Poeta zadrżał poruszony do głębi, rumieniec wystąpił mu na lica. Wstaje żywo od stołu, chce płacić za obiad i uciec czemprędzej, aby ukryć łzy cisnące się gwałtem z pod powiek. Ale oficerowie otaczają go wkoło, zastępują mu drogę. Jenerał wnosi zdrowie narodowego wieszcza. Niespodzianka ta, jak łatwo zgadnąć, zawczasu była obmyśloną.

Po tym tryumfie, nastąpił wkrótce nowy. Panna Wiktorya pozostała mu wierną; stałość jej przełamała opór rodziców. Od dwóch lat Brodziński kochał ją gorącem uczuciem, walczył wytrwale sam z sobą; rozum nakazywał mu ustąpić wobec napotykanych trudności, ale serce pociągało go do niej. Tę to zapewne walkę określił w znanym czterowierszu:

Rozum i serce dwa wrogi,
Wiecznie się z sobą spierali,
W tem ona weszła do sali,
I rozum w nogi.

W tymże samym roku, poeta zaślubił ukochaną i z nowym wziął się do pracy zapałem. Mniej szczęśliwy od Jana z Czarnolasu, nie mógł zamknąć się w ciszy wiejskiej, nie miał własnego dachu, aby nakreślić na nim rzewny napis, nie miał zielonej lipy, listków którąby poszmerem wtórzyła jego pieśni. Miał tylko zielony swój stolik i ten uczcił z prostotą godną Kochanowskiego:

Gdy rolników z pługami wywołuje zorze,
Ja, zielony stoliku, ja przy tobie orzę;
Tyś mi jedno dziedzictwo, staniesz mi za niwę,
Gdzie dziatkom chleb obmyślam i imię poczciwe,
Tydzień cały najemnik, ale w dzień świąteczny,
W wieczność myślą się puszczam na ten dzień ko-
[nieczny;
Tu dworskiej chorągiewki wyśmiewam odmieńce,
Niestałe możnych berła i klasyków wieńce,
A w przyspieszonym świata ziemskiego obrocie,
Cichej prawdzie hołduję i starej prostocie.

Wkrótce potem wybuchła pamiętna walka klasyków z romantykami. Nie uszedł i Brodziński złośliwych pocisków; wiedział że Osiński na literackich obiadach u jenerała Krasińskiego, szyderczo parodyował jego wiersze, zarówno jak ośmieszał Dziady Mickiewicza z katedry. Poeta nasz wielbił Mickiewicza, zachwycał się dumkami Bohdana Zaleskiego, oceniał Odyńca z którym żywa łączyła go przyjaźń, ale nie podniósł głosu w obronie ich i własnej chorągwi. Czuł głęboko, że prawda musi zatryumfować.

Mickiewicz wzajemnie odpłacał mu uznaniem. Kiedy rosyjski poeta Żukowski, wyjeżdżał do Warszawy, w roku 1829, wieszcz nasz, przebywający podówczas w Petersburgu, na żądanie jego nakreślił notatę z ocenieniem literatów warszawskich. O autorze Wiesława, wyraża się w ten sposób:

„Brodziński, profesor literatury w uniwersytecie: poeta, naczelnik szkoły romantycznej w Polsce, uczony literat. On pierwszy dał poznać poezye Szyllera i Getego, sam tworzył ballady i pieśni wielkiej wartości. Tłomaczył poezye ludowe serbów i morlaków. W ostatnich pracach, zda się, porzucił szkołę niemiecką i angielską. Przekonany, że ludowe pieśni słowiańskie, po pieśniach starożytnych greków, mają w sobie najwięcej poezyi, usiłuje stworzyć szkołę narodową czysto słowiańską."

Ileż-to w tych kilku zdaniach, pochwał dla Brodzińskiego! jak głęboka charakterystyka jego działalności. Każda gałąź tych różnostronnych praw, wymaga osobnych badań. Samo już wprowadzenie do nas Szyllere i Getego, ileż stworzyło nowych pobudek w historycznym rozwoju literatury naszej? a cóż tu powiedzieć o wprowadzeniu żywiołów serbów i morlaków? Sam fakt, że dla nowych idei porzucił poetów niemieckich, którzy tak łatwą przynosili sławę ich tłomaczom, jakże wymownie świadczy o zasługach naukowych naszego krytyka poety.

V.

Parę lat upłynęło. Ze zwinięciem uniwersytetu warszawskiego, Brodziński opuścił zawód profesorski, z którego od ośmiu lat wywiązywał się tak chlubnie. Jakkolwiek zwątlony na siłach, nie umiał żyć w bezczynności. Objął więc wydawnictwo Magazynu powszechnego. Nudna to była praca, nie odpowiednia poecie naszemu, to też utyskuje na nią w liście do Łukasza Gołębiowskiego: „Radbym, pisze on, zacny mój przyjacielu, żebyś widział mniemanego śpiewaka, jak się mozoli nad artykułami o mechanice, o kuglarzach, o zoologii; jak was rolników naucza, znać się szczegółowo na pszenicy, jak opisuje skład wozów parowych, uczy obchodzić się z zegarkami, jak pisze nawet o astronomii. Uzbroiłem się też w cierpliwość!"

Wśród tej niewdzięcznej pracy, siły poety wątlały coraz bardziej. Lekarze zalecili mu używać wód karlsbadzkich. Z wiosną 1835 roku, wybrał się w podróż sam, poleciwszy żonę i córeczkę opiece przyjaciół.

Ścisłe stosunki łączyły rodzinę Brodzińskich z domem państwa Lewockich. W tym życzliwym domu spędził ostatnie chwile pobytu swego w Warszawie. Żyjąca dotąd czcigodna pani Katarzyna Lewocka, przysłała nam w tych czasach, rzewny opis tego pożegnalnego wieczoru. Przytaczamy tu jej wyrazy:

„W wigilią wyjazdu Brodzińskiego zagranicę, zaprosiłam kilkanaście osób na wieczór. Był on z żoną i kilkoletnią córeczką; były między innemi jenerałowa Sowińska i jenerałowa Kicka. Na stole przy herbacie, umieściłam bukiet z konwalii, ulubionych mu kwiatów. Pani Sowińska wniosła, aby śpiewak Wiesława, rozdał na pamiątkę obecnym, po wiązce z całego bukietu, co on też zaraz spełnił, ale niestety! zabrakło dla niego konwalii.

— Smutna to wróżba dla mnie — rzekł — nie wrócę już do ulubionych kwiatków moich!

Na to pani Kicka ze swej wiązki wyjęła gałązkę, podała ją Brodzińskiemu, poszliśmy wszyscy za jej przykładem i złożył się spory bukiecik. Nie zapomniał o nim drogi podróżnik, zabrał go z sobą na pamiątkę.

Wyjechał nazajutrz. Zatrzymał się w Krakowie i pospieszył do Drezna, gdzie pozostał czas jakiś dla porady słynnych lekarzy.

Przebywający tam Odyniec, z przerażeniem ujrzał jakoby cień Brodzińskiego, tak głębokie piętno boleść fizyczna i moralna wycisnęła na łagodnem jego obliczu. Wkrótce potem chory udał się do Karlsbadu, a po odbytej kuracyi, powrócił znów do Drezna.

Siły jego gasły z dniem każdym, ale moc ducha nie opuszczała go do końca. W rzewnych słowach Odyniec opisuje ostatnie chwile dogasającego poety. Mówi o nim z prawdziwem namaszczeniem:

Zbliżała się godzina, a jako gdy słońce
Schyla się do zachodu, wichry w dzień wiejące
Uciekają, a ono swe blaski promienne,
Wciąga zda się w głąb siebie na spocznienie senne;
Lecz nim zgaśnie, raz jeszcze w pełni majestatu,
Nieśmiertelne swe jutro zapowiada światu:
Tak dusza chrześciańska, przed ostatnią próbą,
Ucisza się w spokoju i jakby chcąc z sobą
Zabrać i unieść wszystkie swe cnoty na ziemi,
Wsiąka je i bezwiednie promienieje niemi.
Tak był on. Obmytemu u pokuty zdroju,
Bóg snać wlał taką słodycz wnętrznego pokroju,
I tak podniósł go w duchu, że z tej wysokości,
Stanął przed nim zarazem i obraz przeszłości,
I nadzieja błękitną przyszłość odsłoniła,
Czuł jej blask, lecz nie wiedział, że to wieczność
[była.
I ufny, w pełni serca, przed okiem przyjaźni,
Rzucał w nią jakby resztę gwiazd swej wyobraźni,
A wszystkie były tylko iskry lub odbicia,
Jednej, stałej słonecznej przewodniczki życia,
Miłości Boga, kraju, ziomków, towarzyszy,
I domowej rodziny i wiejskiej zaciszy,
Gdzie wrócić, którym jeszcze błogosławić, służyć
Chciał w życiu, które mniemał, że Pan chce prze-
[dłużyć.

(*) Nimfy gór.

W ostatnich chwilach życia, oprócz religijnej pociechy, znalazł poeta inną jeszcze słodką nagrodę za dni przebolałe w walkach i pracy. Odyniec, który otaczał go najtroskliwszą opieką, otrzymał list od Mickiewicza: „Jeśli Brodziński jest jeszcze u was, pisze wielki poeta, pokłoń mu się ode mnie. Chociaż nie znam go osobiście, wiesz jak go wysoko szanuję. Na końcu Tadeusza był do niego ustęp, ale nagłe drukowanie i moje ówczesne zatrudnienie małżeńskie, sprawiły, że nie miałem czasu poprawić i umieścić owego epilogu. Zostawiłem to do przyszłego, jeśli będzie wydania."

„Odczytałem te słowa Brodzińskiemu, dodaje Odyniec. Słuchając, zamknął oczy, nie mógł powstrzymać łkania. Po niejakim czasie dopiero, polecił mi podziękować Adamowi Mickiewiczowi za ten dowód pamięci, w którym juźcić musiał czuć dowód, że sam autor Pana Tadeusza, miałby go jakby za drugą pieśń z tego tonu, który najprzód zabrzmiał w Wiesławie."

W przejeździe przez Kraków, Brodziński czytał już Pana Tadeusza, z zachwyceniem mówił Odyńcowi o poemacie, uważał go za najwyższy szczebel, na jakim poezya nasza stanęła. Ztąd łatwo pojąć, jaką list Mickiewicza, napełnił go pociechą.

W parę dni potem, nocą, dogorywający poeta szczególne miał widzenie: opowiadał je z rana obecnym, sam nie był pewien czy to było we śnie czy na jawie.

Powtarzamy to słowami Odyńca:

Bóg mu swoją wolę
Obwieścił, nie przez trwogę śmierci, nie przez [bole,
Nie przez strach nawet sądów swych i majestatu;
Lecz jak wstępował w niebo, błogosławiąc światu,
Jak stokroć schodził z nieba na męczeńskie dusze,
By je wzmódz z duchem swoim nad śmierć i katu- [sze:
Tak szedł snać i ku niemu. Z jasnym włosem [młodzian,
Z promieniejącem czołem, śnieżną szatą odzian,
Stanął przed nim w widzeniu i skinieniem ręki,
Wskazał drogę ku niebu, palmą życia męki.

I on uznał znak Pański i jakby anieli,
Na straży mu u serca i myśli stanęli;
Taki pokój tchnął w licu, taka w oku radość,
Że nawet w onej chwili, gdy już śmierci bladość,
Zwiastowała jej przyjście; gdy na łup jej ciało
Skazane, znać w jej ręku konwulsyjnie drgało,
A skroń jego stygnącą, jako marmur biały,
Usta już tylko moje i łzy ogrzewały:
Że nawet w onej chwili, którą widząc człowiek,
Drży tylko albo płacze, z pod gasnących powiek,
Lśnił jakiś taki promień, taki blask weselny,
Tak się dawał czuć tryumf duszy nieśmiertelnej,
Taka pewność, że żyje i idzie do Boga,
Że grzechem-by się zdały litość albo trwoga,
I tom jedno czuł tylko w głębi serca mego,
Jak dobry Pan, jak słodka śmierć sprawiedli- [wego!

Skonał w dniu 10 Października. Dzień ten po dwakroć był dlań pamiętny i jako dzień urodzin jedynej córki i jako rocznica pierwszego wystąpienia na katedrze uniwersyteckiej, przed laty trzynastu.

W podróżnej skrzynce znaleziono zwiędły bukiecik konwalii. Wspominał go w ostatnich chwilach: „ze mną do trumny". Powtarzał gasnącym głosem, brano to za gorączkowe majaczenie.

Żałosne grono ziomków, odprowadziło zmarłego poetę na cmentarz drezdeński, zasypało mu oczy garstką ziemi ojczystej, którą tak gorąco ukochał.

Grób jego wznosi się obok grobu jenerała Woyczyńskiego.

Rzecz godna uwagi: rozproszone po świecie kości naszych poetów, znalazły wiekuisty spoczynek obok kości mężnych wojowników naszych. Niemcewicz spoczywa w Montmorency obok Kniaziewicza; Stefan Witwicki w Rzymie, obok jenerała Klickiego; Woronicz na Wawelu, obok Kościuszki; tam gdzie wkrótce wielki wieszcz narodowy Adam Mickiewicz spocznie obok wielkiego króla Jana!

O! MORALIŚCI!

O! moraliści! wobec was któżby
Śmiał skargi głosić wierszem albo prozą,
Gdy na jęczących wołacie *furioso:*
„Ciszej puszczyki, ptaki złej wróżby!"

O! moraliści! wy nas uczycie
Bez skargi nosić cierniowy dyadem:
Raczcie naukę wprowadzić w życie,
I słowa wasze poprzeć przykładem!...

O! moraliści! ludzie złej woli!
Skoro się serce wasze rozrzewni
Na widok bratnich łez i niedoli;

Gdy się staniecie duchem pokrewni,
Tym co w cierpieniu gasną powoli,
Skargi ucichną, o, bądźcie pewni!

Emilia.

SKARB.

Kartka z podróży,

NAPISAŁ

F. K.

(Dalszy ciąg.)

Pociąg toczył się z błyskawiczną szybkością. W pobliżu Aix-la-Chapelle, na granicy belgijskiej, matka Blanki usnęła. Gdy pociąg przystanął na piętnaście minut, dziewczę zwróciło się do mnie z prośbą po niemiecku, o przyniesienie jej szklanki herbaty i ciastka.

Wykonałem żądanie to z pośpiechem; przynosząc jednak tackę z napojem, zapomniałem, że czasowo miałem być niemcem.

— Oto herbata i ciastko, których pani żądałaś! — rzekłem w poprawnej francuzczyznie.

Szczęściem, że powiedziałem powyższe wyrazy trzymając jeszcze oburącz tackę. Dziewczę bowiem aż się zachwiało pomięszane i zdumione; cały przyrząd tedy byłby wleciał pod koła pociągu.

— Ah!... pan jesteś francuzem? — szepnęła rumieniąc się, zapewne na myśl o podsłuchanej tak niedyskretnie jej rozmowie z matką.

To przypuszczenie, pochlebiło mi niezmiernie.

— Nie, pani! — odparłem jednak — jestem polakiem, ale to wszystko jedno...

Tym sposobem, pierwsze lody zostały złamane.

Gdy pociąg ruszył dalej, w kierunku Brukselli, aby nie budzić mamy, prowadziliśmy pół-cichą rozmowę.

Przyszła mi myśl dziwna, pomysł oryginalny, że jednak w naszem maszynowem stuleciu, myśli dziwne i pomysły oryginalne najłatwiej się urzeczywistniają, śmiało więc wypowiedziałem commyślał o Blance.

— Stałem się przez lekkomyślność panem przykrej tajemnicy — rzekłem nagle, patrząc w śliczne oczy francuzki. — Czy pani pozwolisz mi wypowiedzieć ci kilka uwag?

— Bardzo proszę, panie! — odparła bez namysłu. — Jesteś polakiem, to mi już daje pewną moralną rękojmię... Nie sądź jednak, że moi rodzice są tak... źli... bynajmniej.

— Nie, nie sądzę; ośmielę się tylko prosić pani, abyś zechciała przyjąć mój adres w Paryżu i w jakiejbądź stanowczej chwili życia, lub w razie jakiego... nieszczęścia, nie zapomniała, że jestem zawsze na jej usługi.

Zamieniliśmy wizytowe karty i nad ranem, gdy pociąg dotarł do belgów stolicy, przesiadłem się do innego wagonu, pozorując to nałogiem... palenia.

W Paryżu czekało mnie, już na wstępie, nowe rozczarowanie — mówił dalej Henryk.

Dziennik uniwersalny, był uniwersalną... blagą. Założony przez przedsiębiorców, którym chodziło więcej o materyalne zyski niż o dobro ogółu, stał się odrazu organem szwindel-banku, słynnego potem z oszustw i skazanego niedawno na cztery lata kajdan p. Bontoux i spółka, założyciela i banku dla krajów austryackich.

Sążniste ogłoszenia i kłamliwe reklamy na korzyść nędzników, co wyzyskiwali łatwowiernych akcyonaryuszów, zapełniały kolumny piśmidła, w którem chciano wprost, za liche pieniądze, wyzyskiwać zdolności jakie posiadam.

Póki chodziło tylko o kierownictwo działem politycznym i z obczyzny, wszystko szło jeszcze jako tako, gdy jednak polecono mi napadać na przeciwników monarchii i podniecać namiętności, a mącić wodę, aby w niej pan Bontoux mógł łowić ze spółką złote rybki, w postaci coraz nowych przedpłacicieli na udziały niczem nie zagwarantowane, ustąpiłem natychmiast, oświadczając, że nie sprzedaję pióra.

I zostałem znów na bruku; prawda że z dwoma tysiącami franków w kieszeni, ale... daleko-żto zajść można z podobną bagatelą?

W początku Marca 1870 roku, otrzymałem bilecik miejską pocztą, nieznaną mi ręką nakreślony.

Był od... Blanki.

W kłopotach moich, o tem pięknem dziecku zapomniałem zupełnie.

Pismo jej, rozbudziło wspomnienie owej podróży z Berlina.

„Panie! pisała mi, przypominając ci przyrzeczenie, proszę, chciej widzieć się ze mną jutro, w ogrodzie Luksemburskim, w miejscu, gdzie zwykle grywa orkiestra, o 10 rano. Przyjdę sama.

Blanka de Rumeville."

Od poznania mego z dziewczęciem już cztery miesiące upłynęło. Wyrzucałem sobie wewnętrz-

nie, że nie starałem się zasięgnąć bliższych o niej i jej rodzinie wiadomości. Rzecz jednak była jeszcze do naprawienia.

Paryż obfituje we wszystko, a za pieniądze, nietylko w dniu jednym, ale w godzinie istne cuda zdziałać można.

Przypomniałem sobie, że niedawno, gdy jeszcze pracowałem w redakcyi Uniwersalnego dziennika, doręczono mi po polsku w kopercie, szczególnego rodzaju kartę:

Adolf Bernot

b. agent policyjny.

Podejmuje się udzielania wyjaśnień w kwestyach zawiłej natury, dostarczania wiadomości o zgubionych lub skradzionych przedmiotach, załatwia sprawy rodzinne, przeprowadza tajne śledztwa w najściślejszej tajemnicy, a wszystko za umiarkowanem wynagrodzeniem.

Ulica Fontaine N-r 14.

List Blanki otrzymałem rano, w wygilią dnia w którym miałem pójść do Luksemburskiego ogrodu.

Pozostawało mi tedy ze dwadzieścia godzin czasu do działania.

W godzinę już wysiadałem z dorożki na wspomnianej ulicy i dzwoniłem do drzwi pana Adolfa Bernot.

Przyjął mnie jegomość poważny, już pięćdziesięcioletni przynajmniej, łysy, w złotych okularach na potężnym, czerwonym nosie i ustrojony w piękny szlafrok jedwabny.

Przeprowadziwszy mnie sam przez dwa elegancko umeblowane, choć nieduże pokoiki, wprowadził do gabinetu, rodzaju garderoby teatralnej, w której nic nie brakowało.

Milcząc, podałem mu wizytową kartę Blanki.

— Pan sobie życzysz objaśnień co do rodziny tej...

— Panny — rzekłem. — Radbym jednak wiedzieć jak można najwięcej.

— Na kiedy?

— Na jutro na 8 godzinę rano. Oto mój adres a oto zaliczka.

— Bardzo dobrze! — odpowiedział pan Adolf z ukłonem.

I znów poważnie i z uprzejmością, przeprowadził mnie aż do drzwi od sieni.

— Ale, ale! — przerwał nagle opowiadanie mój przyjaciel. — Ja bajdurzę, a ty może usychasz z nudów i tylko przez grzeczność...

— Nie, mój drogi! owszem, zajmują mnie twoje przygody i ten dziwaczny system opowiadania.

— A żołądek twój, Zygmuncie?

— Wskazuje dopiero piątą godzinę...

— No, to mogę jeszcze mówić do kwadrans na siódmą, bo o tej porze pójdziemy do domu na obiad.

Nazajutrz, jednocześnie ze służącą, przynoszącą mi czekoladę, wsunął się do mej sypialni i jakiś jegomość, niepokaźnie odziany, małego wzrostu, szkieletowato chudy.

— Pan Stalewski? — rzekł półgłosem, po wyjściu służącej.

— Czem służyć mogę?

Miasto odpowiedzi, wręczył mi list, na którego okrywce widniała drukowana firma p. Adolfa Bernota.

Spiesznie rozerwałem ją i oto co mniej więcej wyczytałem:

„Blanka-Joanna-Jadwiga, córka Eugenii Marcel i Fryderyka de Rumeville, właściciela hut szklanych, urodzona 10 Stycznia 1853 r., w Mendon pod Paryżem. Kończyła pensyonat pani Berton przy ulicy Richelieu N r 43, od dnia 1 Stycz nia 1870 roku zaręczona margrabiemu de Morvanne, bogaczowi posiadającemu siedm milionów franków i pięćdziesiąt sześć lat wieku.

„Pan de Remeville jest zupełnie zrujnowany. Uzyskał ostateczny termin likwidacyi do 15 Kwietnia r. b., po sprzedaży zostanie mu zaledwie 140,000 fr. t. j. 6,000 fr. rocznej renty.

„P. Blanka nie kocha margrabiego, lecz ponieważ ojciec zagroził jej, że popełni samobójstwo, uległa. Ślub wyznaczony na dzień 15 Marca.

„W pałacu de Rumeville czynią przygotowania do ślubu, a w pałacu de Morvani do przyjęcia nowej pani domu.

„Z uszanowaniem, gotów do dalszych usług

Adolf Bernot."

Załatwiwszy się z posłańcem pana Bernota, zacząłem się ubierać co żywo, niepomiernie zdziwiony pośpiechem i dokładnością zebranych przez agenta wiadomości i to w tak krótkim czasie.

Pannę de Rumeville, zastałem już oczekującą mnie na ławeczce, w alei przy łączce, na której odbywały się środowe i piątkowe koncerta.

Była ubrana zupełnie czarno, niezmierna bladość pokrywała jej lice, ale wyglądała jeszcze ładniej może.

Smutny uśmiech błąkał się po jej ustach.

— Niespodziewałeś się pan, że istotnie wezwę twej pomocy?... — rzekła wyciągając do mnie rączkę, z której pośpiesznie zdjęła rękawiczkę.

Daruj Zygmuncie, że kładę nacisk na ten drobny na oko szczegół, lecz uważam za żarcik nie na miejscu lub impertynencyą, zwyczaj kobiet podawania mężczyźnie kawałka skóry do dotknięcia lub uścisku, skóry koźlej, psiej lub baraniej. Raz nawet ze znajomą damą, dozwoliłem sobie żartu który ją na zawsze wyleczył z tego systemu. W chwili, gdy wyciągnęła do mnie rączkę w rękawiczce, pośpiesznie włożyłem swoją na prawą rękę i dopiero uścisnąłem łapkę znajomej.

Lecz wracając do opowiadania:

— Niespodziewałeś się, prawda? Może nawet już nie myślałeś o szlachetnie, choć może za porowczo trochę danem przyrzeczeniu.

— Mylisz się, pani! Myślałem o tem tak dalece nawet, iż znam teraz twe rodzinne stosunki równie dobrze jak ty sama. Wiem, że ślub twój na 15 b. m. wyznaczony i że uległaś pod groźbą rodzica, że...

— Dość, dość — szepnęła błagalnie! — Ah! powiedz pan, czy to może być jeszcze ratunek? Ah! to nieszczęsne bankructwo ojca! — szepnęła zaledwie dosłyszanym głosem.

— Zaufaj mi pani! zapewniam, że uwolnię cię i to w trzech dniach od nienawistnego ci wielbiciela.

— Pan, pan?... Ale jak, mój Boże!

— Jak to spełnię jeszcze nie wiem, ale dość że użyję wszelkich środków, aby rzecz doprowadzić do jak najpomyślniejszego dla pani rozwiązania. Najprędzej rozmówię się osobiście z samym margrabią, odwołam się do jego rozumu, do serca, do jego szlachetności...

— Oh! panie, lękam się — przerwała Blanka — to człowiek tak pełen pychy, może nastąpić nieporozumienie a ztąd...

— Bądź pani spokojną, nie wyjdę z granic umiarkowania i wszelkiej przyzwoitości i mam nadzieję, że głos zimnego rozsądku, spokojnie, bez namiętności wypowiedziany, odniesie pożądany skutek.

— Oh! dałby to Bóg! — zawołała Blanka wznosząc załzawione oczy ku niebu. — Jam prawie teraz jak sierota... Gdyby nie groźba ojca... że życie sobie odbierze...

— Uspokój się pani, twój ojciec się nie zastrzeli... groził ci tylko, pewny, że się dasz złudzić, że przywiązanie córki przemoże...

Chciałem dodać jeszcze, że według mego zdania pan de Rumewille za lichym jest człowiekiem, aby ze 140,000 fr. w kieszeni targnął się na życie i że prawdopodobnie zje najpierw to co ocali z rozbicia, lecz w porę schowałem tę uwagę do kieszeni.

— Teraz — rzekłem powstając — czas nagli... żegnam panią! Bądź dobrej myśli...

— Kiedyż się zobaczymy?... — rzekła cicho, patrząc mi w oczy.

— Tu, za dni dziesięć, t. j. 15 Kwietnia, w dzień twego ślubu — dodałem wesoło — o tej samej co dziś godzinie.

— Więc pan jesteś zupełnie pewny siebie?

— Zupełnie pewny, pani.

Na rączce jej błyszczał pierścionek z turkusem, otoczonym brylalancikami. Ściągnęła go z paluszka i podając mi rzekła:

— Proszę, weź pan go, weź odemnie, jako...

— Jako?... — podchwyciłem nieśmiejąc spojrzéć na płoniącą się panienkę.

— Talizman od... przyjaciółki...

Tak rozstaliśmy się.

(*Dokończenie nastąpi.*)

DWA OGNISKA DOMOWE.

PRZEZ

AUTORKĘ „JOHNA HALIFAKSA".

Przełożyła z angielskiego

Zofia Bogumiła.

Opowiadanie nasze zaczyna się od tego, na czem inne kończyć się zwykły, zaczyna się od małżeństwa.

Mr. Stafford, bogaty bankier wydawał w jednym dniu za mąż córkę swoją i siostrzenicę. Sir Franciszek Lester, baronet, ze starej i szanowanej rodziny, był szczęśliwym oblubieńcem pierwszej. Mąż drugiej zajmował niższe stanowisko w społeczeństwio, był to Henryk Wolferstan Esg. szlachcic, którego całe bogactwo stanowił pewien, zbyt często urojony dochód, zwany „skromną niezależnością", a przytem urząd przynoszący mu paręset franków rocznie. Jeden z nich uwiózł w tryumfie piękną dziedziczkę, drugi: pełną wdzięków, ale nieposażną siostrzenicę bankiera Strafford.

Ze zwykłemi w takiej chwili łzami, rozstały się dwie oblubienice. Poczwórna kareta zawiosła sir Franciszka i lady Lester do wspaniałej siedziby jego możnej rodziny. Skromniej, bo pociągiem kolei żelaznej przybyli Henryk i Emilia Wolferstan do spokojnej, wiejskiej zagrody, gdzie nowa rodzina witała z radością sierotę. I miodowe

miesiące kuzynek mijały, różnie na pozór, a jednak tak samo, gdyż zarówno w bogatej siedzibie lorda, jak i w wygodnym domku szlachcica, przyświecało jasne słońce pierwszej, młodzieńczej, szczęśliwej miłości.

Po parotygodniowej podróży, obie pary przyjechały do domu. Jakże słodko, jak miło brzmią słowa: „nasz dom!"

Jakiż słoneczny widok przyszłości roztacza się przed oczami wyobraźni! Każda radość dzielona, każdy trud spólnie podjęty, zda się nie powinien zaciężyć przez całe życie. Sir Franciszek Lester wśród szczęścia zapomniał o swej wysokiej godności, kiedy wyniósłszy na rękach z miękkiej karety swą młodą małżonkę, wprowadzał ją przez szereg wygalonowanej, uśmiechniętej i uniżonej służby, na wspaniałe schody świetnego domu na ** Square. Ręka w rękę młoda para przebiegała bogate komnaty, w których urządzeniu przepych z wytwornym smakiem walczył o pierwszeństwo. Izabela nie posiadała się z radości i podziwienia, a mąż za całą nagrodę patrzył w jej oczy z rozkoszą. Nareszcie syta przyjemności, lady Leister, rzuciła się na sofę.

— Już dość na dzisiaj! więcej nie mogę, tak już jestem zmęczona!

— Zmęczona domem swoim, czy mną? — zapytał z uśmiechem sir Franciszek.

— O! nie, nie! — zawołała młoda żona, patrząc z dumą i czułością na męża. — Zmęczona chyba szczęściem swojem.

— Obyś mi zawsze takie tylko robiła wymówki, najdroższa moja! Ale nie można dzisiaj próżnować, wszak wiesz, że matka moja przyjeżdża wieczorem. Niechże moja Iza będzie mi piękną i czarującą, piękniejszą niż zwykle, jeżeli można.

— Ani myślę; wszystkie matki na świecie nie zdołałyby mnie skłonić w tej chwili, bym wstała i zadawała sobie mękę strojenia się do stołu.

Sir Franciszek popatrzył smutnie, za krótko jeszcze był mężem, aby się poważyć na coś więcej.

— Jak chcesz, Izabelko — odpowiedział — ale ja życzyłbym sobie...

Było coś takiego w tonie jego mowy, że żona podniosła oczy; ujrzawszy wyraz jego twarzy, pożałowała słów niebacznych.

— Kiedy ty życzyłbyś sobie, no! chcę dzisiaj i zawsze robić wszystko, czego sobie życzysz — szepnęła mu do ucha, zrywając się z sofy, a przelotna chmurka znikła tchnieniem miłości rozwiana.

O pół mili od rezydencyi sir Franciszka Lester, była siedziba drugiej młodej pary mr. i mrs. Wolferstan.

Był to jeden z tych przyjemnych domków, jakie przeszłe pokolenia zwykłe były wznosić na przedmieściach Londynu. Dziś tam bieleją nowe tarasy, świeżo pozakładane skwery wznoszą się dokoła, dawne jednak domostwa pozostały tu i owdzie, osadzone drzewami, ogrodzone nizkim płotkiem oddzielającym od zapylonej drogi małe ogródki z werandą osadzoną bluszczem, powojem, albo gęsto zarastającem winem. Do jednego z takich miłych domków przedmiejskich Henryk Wolferston wprowadził swoją małżonkę.

W chłodny wieczór wrześniowy, tak chłodny, że ogień na kominku prawdziwą już robił przyjemność, Henryk i Emilia zasiedli po raz pierwszy przy domowem ognisku swojem. Jasne światło płomienia padało na ożywioną twarz młodej gosposi, krzątającej się przy stole zastawionym do herbaty, podczas gdy mąż spoczywając w wygodnym fotelu przed kominkiem, śledził oczyma z lubością białe jej, delikatne rączki migające śród tego gospodarskiego zajęcia.

Jakże się czuli szczęśliwi. Po długich próbach miłości, którą często zachmurzały światowe względy i przeszkody, znaleźli się wreszcie w cichej przystani domowego ogniska. Emilia rozglądała się dokoła po wesołym pokoju, którego ściany zdobne były w piękne doborowe ryciny, te ulubione, acz nieme towarzyszki ich przyszłego życia; przy drugiej ścianie półki z książkami i otwarty fortepian: wszystko zdawało się jej zapowiadać przyszły dostatek i szczęście. Co więcej, widziała przy sobie tę twarz drogą, która przez lat kilka była jasnym promieniem słońca w jej życiu; widziała w nim męża swego. Więc się już nigdy nie rozłączą, więc miłość będzie już dla nich obojga tym ożywczym zdrojem, tryskającym codziennie ku osłodzie i orzeźwieniu spólnego ich życia. Wszystkie te myśli tłoczyły się do przepełnionego szczęściem serca młodej kobiety i wycisnęły z jej oczu łzy rozrzewnienia. Szczęśliwe, błogosławione to były łzy, otarte prędko pocałunkami, zmienione w uśmiechy!

W wiele lat potem i po wiele razy, młoda para przywodziła sobie na pamięć ten pierwszy wieczór, spędzony we własnym domu; z jakiem uczuciem patrzyli na te skarby swoje, na te domowe bogi swoje! Emilia usiadła do nowego fortepianu, próbowała śpiewać, ale głos jej drżał; wrócili zatem oboje do kominka i budowali zamki na lodzie: żart każdy kończył się poważnie, gdyż zanadto byli szczęśliwi, aby się mogli oddać pustej wesołości.

Czas płynie szybko dla każdego, a może najszybciej dla tych, których życie ubiega spokojnie, bez troski.

Emilia była już od sześciu miesięcy mężatką, zanim zaczęła rachować, jak dawno oddała swą rękę kochającemu Henrykowi; krótki czas ten razem przeżyty, wydawał im się snem słodkim. Urządzili sobie życie ciche i spokojne, ludzie nieraz żartowali z nich, śmieli się z utraconej wolności, z małżeńskich krępujących więzów. Ale Henryk dobrym humorem odpowiadał na to, był zwykle wesołego usposobienia i pytał czy jest na świecie człowiek sam lub z rodziną, któryby się mógł pochwalić zupełną wolnością.

I dobrze, że tak jest na ziemi, gdyż bezwzględna wolność stałaby się w końcu ciężarem.

Mrs. Wolferstan utrzymywała zawsze dawne stosunki ze swą kuzynką, bo Izabela nadto była szlachetna, aby różnicę położenia uważać za powód do zerwania dawnych przyjaznych związków.

Były jednak powierzchowne różnice między żoną bogatego baroneta, a średniej zamożności szlachcica; co więcej były różnice w namyknieniach, pojęciach, uczuciach obu kuzynek, różnym obdarzynych losem, to też i dziwić się nie można, że stosunki tych dwóch kobiet stawały się coraz dalsze. Ile razy Emilia wróciła od lady Lester, gdzie panowała atmosfera wesołości i przepychu, zawsze doznawała dziwnej ulgi, wstępując w obręb cichej swej zagrody.

Dnia jednego przyszła wcześniej niż zwykle odwiedzić Izabelę, którą zastała jeszcze w jej apartamentach, niby-to śpiącą. Ale gdy Emilcia odsunąwszy firanki, wpuściła do pokoju ciepłe, jasne promienie słońca, spostrzegła bladą twarz i nabrzmiałe oczy siostry pod bogatą koronką rannego czepeczka.

Zanim zdążyła przemówić, lady Lester zawołała żywo:

— Widzisz, moja droga, miałam dziś pierwszą sprzeczkę z moim mężem.

— Przykro mi to, bardzo przykro. I sir Franciszek...

— Nie mów mi o nim! jest nieznośny, dumny i uparty.

— Cicho! — przerwała Emilia, kładąc jej palec na ustach — nie powinnaś tak mówić o nim nawet przedemną.

— Słuchaj! nie lubię, jak mi się kto sprzeciwia — odpowiedziała rezolutnie młoda piękność, a mrs. Wolferstan pomyślała, że podobno najlepiej uczyni, słuchając spokojnie, choć wiedziała, ile jest złego w tego rodzaju zwierzeniach.

— Mąż mój nie dotrzymuje mi nigdy towarzystwa — ciągnęła dalej rozżalona.—Codzień gdzieś wychodzi i to nie ze mną, ale sam, albo z tą swoją nieznośną matką, której nie cierpię mieć w swoim domu; ona jednak rządzi się tu, jak u siebie, a mnie uważa za nic, mnie, żonę Franciszka Lester! Prosiłam go dziś, aby jej tak często nie zapraszał, abyśmy choć trochę mogli być sami z sobą, jeżeli zechce nadal więcej w domu siedzieć. Ale się tylko rozgniewał; nie uniósł się wprawdzie, o, nie! on się nigdy nie unosi, a wolałabym już to nawet, niżeli to jego zimne, etykietalne obejście, wtedy, kiedy jest niezadowolony.

— I nic więcej? — zapytała Emilia.

— O! to nie wszystko jeszcze! Powiedziałam mu, że nie powinien tak mnie zaniedbywać, że ja dłużej tego nie ścierpię. On mi na to odrzekł ze swoim nieznośnym spokojem: To zależy od lady Lester, aby się starała uczynić swe towarzystwo przyjemniejszem mężowi, i wyszedł. O! pożałuje on tego! zobaczymy! chociaż — i urwała, a krew uderzyła jej do twarzy.

Emilia, widząc, że dziś nie pora na jakiekolwiek, choćby najdelikatniejsze uwagi, że wreszcie nie sama tylko Izabela zawiniła, że i postępowaniu jej męża możnaby niejedno zarzucić, usiłowała uspokoić ją tylko, pocieszyć, co jej się nie łatwo udało. W końcu zaczęła myśleć nad tem, w jakiejby formie podać biednej kobiecie zbawienne a serdeczne rady i przestrogi, gdy starsza lady Lester weszła do pokoju.

Krótkie powitanie między matką a synową stwierdziło niechęć wzajemną. Emilia porównywała w myśli tę wyniosłą, surową, zimną damę z miłą staruszką, matką Henryka, która się dla niej stała kochającą matką. Jakże jej żal było Izabeli! Gdyby nawet nie była słyszała zwierzeń siostry, już sama ta półgodzinna rozmowa, urywana, zimno-grzeczna, albo chwilowo złośliwa, jaka się toczyła między synową a matką, byłaby dostateczna do przekonania Emilii, że się znajduje wśród rodziny, gdzie nie ma harmonii ni zgody. Wstała więc i żegnając się z siostrą w przedpokoju, miała zaledwie tyle czasu, że mogła jej szepnąć z cicha:

— Izabelko! kiedym szła za mąż, doświadczona i szczera moja przyjaciółka, ostrzegała mnie, aby nadewszystko unikać pierwszej sprzeczki małżeńskiej. Zastosowałam się do tej rady i dotąd nie było żadnego zajścia między mną a Henrykiem. Najdroższa moja! na miłość Boską, pogódź się z mężem, skończ te zatargi, choćby ci przyszło najcięższą ponieść ofiarę! I nigdy, nigdy już potem nie dopuść do nowego starcia. Niech ci Bóg w tem dopomaga i pobłogosławi! bądź zdrowa!

Mądry Salomon powiada: Początek kłótni, jest jak upust wody. Niestety! gdybyż ci, którzy pierwsi ten upust otwierają, wiedzieli w jaki straszny potok niedoli wezbrać może i zniszczyć wszystko po drodze swym niepowstrzymanym biegiem! Izabela Lester miała tyle rozsądku, że poszła za radą kuzynki i załagodziła pierwszą sprzeczkę, jak każda kochająca i kochana jeszcze żona uczynić może, skoro tylko ma dobrą wolę po temu. Ale sir Franciszek, choć obdarzony wielu przymiotami, miał niezmiernie trudny charakter w codziennem pożyciu. Że zaś charakter jego, przekonania i nawyknienia były już ustalone przed ożenieniem, żona zatem musiała się we wszystkiem stosować do niego, gdyż on się w niczem nie chciał do niej nagiąć.

Kochał wprawdzie Izabellę, ale może z powodu znacznej różnicy wieku, uważał ją raczej za bawidełko, niż za równą sobie istotę. Skoro jedwabne pęta kochanka zerwane zostały, nie mógł ścierpieć z jej strony cienia kontroli. Dość było obudzić w nim obawę, że żona chce nad nim górować, aby wszelki wpływ jej znikł na zawsze. Słusznie Izabela nazwała go upartym, gdyż ta sama słabość z którą trwał w dobrych postanowieniach swoich, czyniła go również nieugiętym w złych. Chcieć mu przeszkodzić, było to wzmocnić tylko żelazną jego wolę. A jednak był człowiekiem wzniosłych zasad i szlachetnych uczuć; chciał tylko być zawsze nęconym do domu wesołemi uśmiechy, a nigdy zniechęcanym skargami ani wyrzutami.

I znowu rok minął; spojrzyjmy teraz na dwie nasze pary. Na obie spadło błogosławieństwo potomstwa. Dziedzic sir Franciszka Lester, przyjęty był w rodzinie z radosnym tryumfem, złożony w miękkie puchy i atłasy. Nowo narodzone dziecię Henryka Wolferstan podano w objęcia szczęśliwej matce, a przybycie jej, rodzice witali łzami rozrzewnienia. Życie Henryka i Emilii stało się jeszcze słodszem, dopełniła się czara ich szczęścia.

Ale zupełna szczęśliwość na ziemi, dla najmędrszego nawet, sidłem stać się może; to też kto wie, czy nie z moralną ich korzyścią, rzeczy inny obrót wzięły, zanim ubiegło kilka miesięcy od narodzenia dziecka, którego przybycie napełniło ich taką radością, już chmura troski zaćmiła jasne dotąd życie młodych rodziców.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Z LITERATURY FRANCUZKIEJ.

W dziele niedawno wydanem w Paryżu p. t. „La delicatesse dans l'art", autor Constant Martha, dotknął w niem nader różnorodnych szczegółów w przedmiocie literackiej krytyki i poglądy jego prawdopodobnie wywrą zbawienny wpływ na sprostowanie niejednego błędnego sądu. Nie wdając się w zbyt subtelne wywody, mające dowodzić, że wszelkie objawy w ludzkości są następstwem poczucia delikatności w sztuce, lub zupełnie braku takowej, przejdźmy do narzekań autora na uleganie Francyi coraz silniejszemu wpływowi zagranicznemu i traceniu przez to właściwej sobie w literaturze oryginalności.

W handlu księgarskim, powiada autor, wywóz dzieł zmniejsza się a przywóz zwiększa, co wedle zdania autora jest nader smutnym objawem. Kiedyś zanim Francya pozyskała umysłową samodzielność, uległa wpływowi Hiszpanii i Włoch, dzisiaj wszystkie prawie znaczniejsze narodowości oddziałują na twórczego ducha Francyi, wywołując szkodliwe następstwa dla rozwoju narodowej literatury i sztuki.

Autor nietylko politycznie ale i pod względem wyobrażeń swych dotyczących międzynarodowych stosunków, należy do dawnej szkoły, której najwybitniejszym przedstawicielem był zmarły przed kilkoma laty b. prezydent rzeczypospolitej francuzkiej Adolf Thiers. Wedle jego przekonania Francya była całej ludzkości słońcem oświecającem i prowadzącem naprzód cały rodzaj ludzkości. Jako słońce potrzebowała świecić własnym a nie pożyczanym blaskiem; wszystkie ludy bez wyjątku powinny były, o ile możności naśladować ją we wszystkiem dla własnego dobra, a ona nie zwracając uwagi na potrzeby innych, miała prawom yśleć wyłącznie o własnych sprawach i dokładać usiłowań, aby nie postradać zajmowanego stanowiska.

Mąż ten stanu na kilka lat przed śmiercią nie wahał się wypowiedzieć w Izbie, że podział Włoch i Niemiec na drobne i bezwładne państewka był konieczny dla szczęścia i bezpieczeństwa Francyi. Zapatrywanie na sprawy ludzkości z ciasnego stanowiska potrzeb jednego narodu, było następstwem polityki Ludwika XIV i Napoleona I-go. Wedle zdania tych dwóch prawdziwie niepospolitych monarchów, wszyscy bez wyjątku obowiązani byli słuchać wydawanych w Paryżu rozkazów, kształcić się, odczytując drukowane tam dzieła, stosować się do mody i obyczajów, a natomiast Francya powinna działać zawsze samoistnie, nie ulegać żadnemu wpływowi i tak kierować zewnętrzną polityką, aby jej blask nie doznał nigdy najmniejszego zaćmienia. Zapatrywanie takie w rządowych sferach znalazło swój wyraz w edukacyjnym systemie, a ten podziałał silnie na wyobrażenie ogółu.

Aż do ostatniej wojny z prusakami, uważano język łaciński i francuzki jako ostateczny cel nauki wykształconego człowieka, a nawet autora, choćby twórczość swą skierował do najbardziej ważnego przedmiotu. Geografia Francyi wystarczała jak najzupełniej, a co było po za jej granicami, rzecz ta nie obchodziła nikogo. O literaturze obcej nie mówiono i nie pisano nigdy, a jeżeli doszły do wiadomości francuzów nazwiska takie jak Szekspir, Gete lub nasz Mickiewicz, to wyjątkowo i to jeszcze w dosyć ciasnym zakresie.

Dopiero od ostatniej wojny, we wszystkich tych szczegółach zaszła zupełna zmiana. Dzisiaj uczą się Francuzi zagranicznych języków i uczą bardzo pilnie, geografia całej kuli ziemskiej zaliczoną jest do ważniejszych przedmiotów; nareszcie, jak to widać z utyskiwań pana Constant Martha, zwrócono baczną uwagę na zagraniczną literaturę, kiedy wysyłka w tej mierze tak znaczne przybiera rozmiary.

Prace obcych pisarzy tłomaczone są coraz częściej na język francuzki, w tej mierze księgarnia pod firmą Hachette et C-ni oddaje prawdziwe usługi.

Mamy przed oczami ogłoszony katalog przez tego jednego tylko wydawcę i dowiadujemy się z niego z niemałem zadziwieniem, że w ostatnich kilkunastu latach wyszło z druku przeszło czterysta tego rodzaju dzieł, a zapowiedzianych jest wiele innych będących już pod prasą.

Jaka jest przyczyna tyle stanowczej zmiany? Zwracając na ten przedmiot od wielu lat nader baczną uwagę, mając sposobność zbadania na miejscu wyobrażeń różnych warstw społecznych możemy udzielić odpowiedź prawie bez obawy popełnienia omyłki.

Pruski najazd w 1870 roku, wywarł zbawienny wpływ na Francuzów zniewalając ich do wejścia w samych siebie i poznania niedostrzeganych dotychczas chronicznych słabości. Utracili on dwie prowincye, zapłacili miliardy, ale dostrzegli spełniane przez siebie w przeszłości błędy, co nie zostało zbyt drogo zapłacone. Niewątpliwie przy końcu panowania Ludwika XIV i Napoleona I-go spotkały Francyą ciężkie klęski, ale potrzeba było koalicyi całej Europy dla powstrzymania tych dwóch bohaterów. Taka przegrana równała się najświetniejszemu zwycieztwu.

Tymczasem w roku 1870 następujące po sobie bitwy wywołały rzec można, ogólne osłupienie. Z małym wyjątkiem zwycięzca nie doznał porażki, zajął prawie trzecią część Francyi, posiadał ją przeszło rok i wrócił do siebie dobrowolnie po odebraniu grubego haraczu. Byli zatem żołnierze waleczniejsi od Francuzów, jenerałowie zdolniejsi, administracya dokładniejsza, polityka więcej przezorna.

Po tem odkryciu, zrobionem drogą bolesnego doświadczenia, Francuzi nie popadli w rozpacz, nie założyli rąk bezwładnie, ale postanowili jak najspieszniej wynagrodzić stracony czas. Najpotężniejszy nawet naród nie może być celem pracy całej ludzkości, ale tylko jej organem; przytem znane prawo ekonomiczne o wymianie płodów, zastosowanem być może również i na polu prac umysłowych.

Każdy naród bez wyjątku ma właściwe sobie do spełnienia zadanie, a zatem żaden nie powinien być pomijanym lub lekceważonym, a pycha tak narodowa jak i pojedyńczego człowieka, naraża na śmieszność, wywołując częstokroć najsmutniejsze następstwa.

Pan Constant Martha nie pojmuje jeszcze tej prawdy, ubolewa więc dobrodusznie na anarchią panującą w literaturze francuzkiej, spowodowaną przez wpływ zagranicznych utworów.

Pan Constant Martha, w dziele swem „La delicatesse dans l'art", mówiąc o tradycyjnym dobrym smaku francuzkim, ma na widoku nową szkołę z podanem mianem naturalizmu. Niewłaściwie powiada autor, początek jej przypisywany jest Emilowi Zoli, istniała ona na wiele dziesiątków lat przed nim, ale więcej w znaczeniu duchowem usiłując malować zazwyczaj z przesadą szpetne słabości człowieka; tymczasem wymieniony powyżej pisarz francuzki, pierwszy miał odwagę rozpisywać się szeroko o szczegółach, które pod żadnym pozorem nie powinny znaleźć miejsca w literackim utworze.

W jednej ze swych prac powtarza on z dokładnością godną pożałowania, wszystkie uwagi praczek dotyczące, znajdującej się przed ich oczami brudnej bielizny. Obraz taki wywołuje wstręt, ale są inne obrażające tak dalece wszelkie poczucia moralności, że o nich zniewoleni jesteśmy zamilczeć.

Emil Zola ma już naśladowców a prace ich znajdują szeroki pokup. Constant Martha jest tem przerażony, przewiduje zupełny upadek sztuki, skoro śmiecie tak pod materyalnym jak i moralnym względem, będą zwracać główną uwagę tegoczesnych artystów. Wyrażona obawa nie ma rze-

czywistej podstawy, bo objawy mniemanego upadku smaku, są tylko zapowiedzą na polu literatury nowego przeobrażenia. Tak jak filozofia zwrócona została w ostatnich czasach z górnych sfer na właściwe stanowisko rozszerzania zakresu wiedzy ludzkiej idąc od rzeczy znanych do nieznanych, tak i na polu literatury zbyt idealne postacie przypominające aniołów lub szatanów, ustąpią miejsca rzeczywistym, tak abyśmy poznali prawdziwego człowieka w sztuce, tak jak go znamy w stosunkach codziennego żywota.

Rzecz ta jest trudniejszą aniżeli się zdaje na pozór. Linia prosta wyobrażająca postęp rodu ludzkiego ma tylko idealne znaczenie, w rzeczywistości jest ona gzygzatowatą czyli łamaną; umysł ludzki od wieków przechodzi od jednej ostateczności do drugiej, co określa wybornie nasze przysłowie narodowe: kto się gorącem sparzy, to na zimne dmucha. Otóż po zbytnim idealizmie właściwym romantyzmowi, nastaje rzeczywistość ale uszlachetniona, to jest zgodna z prawdą.

Dobrze wychowany człowiek wspomina o śmieciach tylko z konieczności i bez upodobania ale ze smutnem politowaniem spogląda na objawy moralnej nędzy. Odmienny zwrot wyobrażany przez Zolę i jego zwolenników przeminie, umysł ludzki znajdzie właściwą formę i treść zaczerpniętą z dziedziny rzeczywistości, bez potrzeby odkrywania przed oczami wszystkich myśli, uczuć i czynów wywołujących obrzydzenie lub rumieniec wstydu.

Nietylko jednak w dziedzinie literatury ale i na polu malarstwa, naturalizm w ostatnich czasach rozwinął szeroko skrzydła: lecz na szczęście istniejące we Francyi przepisy nie dozwalają robić publicznego zgorszenia.

Komitet też wystawy usunął starannie niemoralne obrazy i w tej mierze oddał publiczności niezaprzeczoną zasługę. Nie zbywa jednak na tegorocznej wystawie malarskiej w Paryżu utworów wykonywanych pod natchnieniem naturalizmu. Szczególniej jeden obraz tego rodzaju zwraca ogólną uwagę.

Zdolny bardzo malarz tutejszy Bonnat wziął za przedmiot opracowania męczeństwo św. Dyonizego, nader głośne w dziejach katolickiego kościoła. Wedle przechowywanej starannie legendy do dzisiejszego dnia, męczenik ten ścięty przez pogan zaniósł oddzieloną od korpusu głowę swą na cmentarz do miasteczka, położonego o kilka kilometrów odległości od miejsca egzekucyi, któremu od owej chwili nadano nazwisko St. Denis.

Nawiasową zrobimy uwagę, że wspomnienie o tym świętym utrwala jedna z najbardziej handlowych ulic w Paryżu, nosząca jego nazwisko.

Osiedleni tam kupcy różnego rodzaju są wielce przywiązani do odwiecznej nazwy zamieszkiwanej przez nich ulicy, dali tego wymowny dowód podpisując nader licznie zbiorowy protest, przeciwko uchwale Rady miejskiej, chcącej zmienić wszelkie nazwy poświęcone wspomnieniom świętych. Wobec objawionego życzenia w stanowczy sposób, zapadły dekret cofniętym został. Ten drobny fakt dowodzi, że w pomawianej o bezbożność stolicy Francyi, wspomnienie o Ś-tym Dyonizym przetrwało do dzisiejszego dnia bez szwanku i otoczone jest zawsze jednostajną aureolą. Okoliczność ta prawdopodobnie była powodem dla pana Bonnat, do wybrania za pośrednictwem swej pracy, określonego powyżej przedmiotu.

Kompozycya zaiste niezwykła i niedająca się wytłomaczyć czem innem, jak tylko zwrotem do naturalizmu, lub też jak chcą tutejsi krytycy do realizmu, czyli rzeczywistości. Rzeczywistość ta jednak wyjątkowa i straszna.

Rzecz dzieje się przed pogańską świątynią, wraz ze świętym Dyonizym ścięto dwóch innych chrześcian, na ziemi więc leżą trzy głowy i dwa ciała ludzkie, porzucona przez kata siekiera i pniak zbroczony krwią. Ten wielki mistrz sprawiedliwości, również jak osoba dozorująca spełnienia wyroku, są widocznie przestraszone i nic dziwnego, bo oto korpus ś go Dyonizego powstaje z ziemi, zbliża się do swej głowy, przyklęka i podnosi z zamiarem przeniesienia na wiadome miejsce.

Wszystkie szczegóły egzekucyi nakreślone są z niezaprzeczoną ale zarazem przerażającą prawdą. Leżące trupy są tak wiernie oddane jakby były dziełem zdolnego fotografa, wszelką chęć zidealizowania jakiegokolwiek szczegółu usunięto staranie na stronę, przedstawiono tam śmierć a nawet sam cud ze szpetnej strony malując scenę, której widoku w rzeczywistości wznioślejsze umysły unikają starannie. Każdy jednak ze zwiedzających wystawę zatrzymuje się przy tem obrazie, zwracającym ogólną uwagę niezwykłością przedmiotu. Po kilku jednak chwilach rozwagi, rozbudzone uczucie niesmaku, nie dozwala zostać na miejscu i wielokrotnie słyszeliśmy powtarzane słowa:

— To straszne, idźmy dalej.

Otóż wyrażenie: idźmy dalej, maluje dokładnie obecny stan literatury i sztuki we Francyi, jest on przejściowy i trzeba iść dalej, aby zrozumieć jego cel ostateczny.

K. G.

WIADOMOŚCI Z KRAJU.

*** **Pierwsze partye wygnańców** ze Szlązka przybyły już do Warszawy. Składają się przeważnie z ludzi biednych nie mających za co kupić kawałka chleba; są to rodziny robotników, którzy straciwszy zajęcie pozostali bez funduszu na drogę. Otrzymali też w Sosnowcu pieniężne zapomogi, a gdyby nie ta okoliczność, przyszłoby im chyba z głodu umierać. Czy znajdą tutaj utrzymanie w obecnym czasie stagnacyi i ogólnej biedy, czyli też rozsypią się po kraju całym, w każdym razie, należałoby choć na początek ułatwić im sposób do pracy. Inaczej wyjdą na żebraków, których nam chyba nie brak, lecz będzie to jedyna droga wyjścia, jaka im pozostaje.

Przybywa i przybędzie także dużo specyalistów przeważnie z kupiectwa: buchalterów, korespondentów, subiektów i t. p. Probowano zająć się przyszłością tych ludzi, wyszukaniem dla nich miejsc w kantorach, sklepach i fabrykach, wątpimy jednak czy rezultat odpowie choć w części oczekiwaniom. Panowie kupcy, fabrykanci i przemysłowcy ograniczają swój personel administracyjny, oddalając mniej potrzebnych oficyalistów, z tego więc powodu i u nas o miejsce trudniej jest obecnie niż w ubiegłych latach. Gdzie szukać zatrudnienia dla biednych wygnańców, doprawdy, nie wiemy.

*** **Wystawa.** W Wilnie otwartą zostanie dnia 22 bieżącego miesiąca wystawa inwentarza żywego.

Pierwotnie był zamiar urządzenia wystawy rolniczej w całem znaczeniu tego wyrazu, obliczywszy jednak, że pociągnęłoby to za sobą nader wielkie trudności i koszta, inicyatorowie projektu ograniczyli go z konieczności.

Gubernie reprezentowane mają być świetnie, deklaracyi jest mnóstwo, co świadczy o postępie gospodarstwa pod względem hodowli inwentarza.

Jednocześnie podczas trwania wystawy, odbędą się doroczne wyścigi konne, które przyczynią się niemało do jej urozmaicenia i zainteresowania ogółu publiczności.

Członkowie komitetu, ludzie poważni i zasłużeni, krzątają się energicznie, aby wystawę uczynić wiernym obrazem działalności ziemian w tej gałęzi gospodarstwa do niedawnego jeszcze czasu zaniedbanej i prawie leżącej odłogiem.

Znaczna liczba osób do Wilna się wybiera, spodziewamy się, że Warszawiacy znajdą się również w pokaźnej liczbie, o wieśniakach nie wątpimy, że pospieszą najpierwsi, bo i tak też być powinno.

*** **I to dobre.** Przerażeni upadkiem rolnictwa, konkurencyą Ameryki i t. p., ziemianie nasi nie tracą jednak głowy i zamiast jak zwykle w nieszczęściu bywa opuścić ręce, dają przeciwnie coraz nowy dowód energii i dobrego zrozumienia sytuacyi. Przedewszystkiem, co najważniejsze, wyzwalają się systematycznie z pod opieki pośredników, faktorów i tym podobnych wyzyskiwaczy, którzy dotychczas załatwiali wszelkie interesa, nabywali do spółki wszystko co folwark miał na sprzedaż, bogacąc się kosztem rolników oraz ich ciężkiej pracy.

Emancypacya pod tym względem jest na dobrej drodze, powstają spółki i zamiast upaść po niedługim czasie, jak to im przepowiadano, prosperują i rozwijają się prawidłowo.

Obecnie do spółek już istniejących wkrótce przybędzie jeszcze jedna w formie domu komisowo-handlowego w mieście Włocławku. Specyalnością *domu* będzie zbyt surowych produktów bezpośrednio konsumentom.

Czego ztąd można się spodziewać, Czytelniczki łatwo odgadną. Zarówno producenci jak konsumenci odniosą tutaj znaczne korzyści, pierwsi i drudzy nie będą potrzebowali płacić haraczu przekupniom i handlarzom, to jasne.

Na czele firmy stoi obywatel p. Korczyński, wybornie obeznajmiony z handlem zbożowym.

*** **W sobotę** dnia 5 bieżącego miesiąca nastąpiło uroczyste otwarcie wystawy ogrodniczej. W obecności licznie zgromadzonych osób, akt podpisany został, potem zaś pomimo stosunkowo wysokiej ceny za opłatę wejścia, publiczność napływała tłumnie.

Deszcz okazał się nader uprzejmym, gdyż przeszkodziwszy chwilowo robotom i uregulowaniu światła, wkrótce zupełnie padać przestał; rozjaśniło się niebo i dzwonek elektryczny przy kole wejściowem coraz częściej odzywać się zaczął.

Grupy bukietów, wiązanek i t. p. osądzone już zostały zaraz w sobotę, jako najpilniejsze, gdyż nietrwałe, te zaś które później nadesłane będą, zostaną już z konieczności pominięte.

Zażądano przytem, aby gruba nasion była sądzoną na ostatku, gdyż tym sposobem tylko siła kiełkowania tychże zostanie dostatecznie wyprobowaną.

Światło elektryczne dodaje wiele uroku wystawie, odznaczającej się świetnością i bogactwem.

Orkiestra pana Namysłowskiego przygrywa stale dnia każdego do 10-tej godziny, w pierwszym zaś dniu usunęła się nieco wcześniej, gdyż spracowani jej członkowie zmęczyli się podróżą.

Spodziewamy się licznego napływu gości, czemu obecna pora sprzyja doskonale. Prawie wszyscy z letnich wycieczek do domu już wracają, mieszkający zaś blizko Warszawy i opóźniający powrót, mogą w każdej chwili przybyć chociażby umyślnie tylko, by wystawę zobaczyć.

Członkowie Towarzystwa przybyli z odległej pro-

wincyi, dają nam swą skwapliwością przykład do naśladowania.

*** **Korzystna zmiana.** Niedawne to jeszcze czasy, w których nasze prowincyonalne miasta i miasteczka odgrodziwszy się chińskim murem od wszelkich innowacyi, wiodły życie w dziwnem obezwładnieniu, niby śnie letargicznym z którego zbudzić je było niepodobna. On niejakiego czasu bardzo korzystna pod tym względem daje się widzieć zmiana. Koleje żelazne ułatwiwszy komunikacyą zwaliły chiński mur, po za którym gnieździła się niezaradność, wynikająca w znacznej części z braku dobrego przykładu. Naśladownictwo jest jedną z cech naszego charakteru, gdy zobaczymy co dobrego u innych radzibyśmy to samo u siebie zaprowadzić. Tak też było i tutaj. Większe miasta zapatrując się na Warszawę, zaczynają dbać więcej o stan zdrowotności i porządku w mieście, zaprowadzają oświetlenie, fundują szkoły, szpitale i t. p. Naszem zdaniem, praca prowincyonalna rozwijająca się od pewnego czasu coraz pomyślniej, przyczyniła się także w znacznej części do postępu miast i miasteczek.

Obecnie ruch ten ciągle się wzmaga i co najdziwniejsza, daje nam obraz wytrwałości i zgody, która to ostatnia jest świeżo rozwijającym się kwiatem.

W Kole np. odbył się teatr amatorski na rzecz miejscowej szkoły.

W Radomiu projektowane jest przedstawienie amatorskie na rzecz szpitala św. Kazimierza.

W Opocznie odbył się teatr amatorski na szpital.

W Sieradzu odbędzie się teatr amatorski na rzecz straży ogniowej ochotniczej.

Czyż więc jeszcze wątpić można, że swary i niesnaski właściwe miasteczkom są dziś zupełnie nieznane.

Wszyscy bywają u siebie, radzą nad podniesieniem dobrobytu i zaspokojeniem przeróżnych braków, myślą wspólnie, pracują i wspólnie się bawią. Oby tak zawsze pozostało!

*** **Z okolic Krzemieńca** uskarżają się na dotkliwy brak szkół i zakładów naukowych, skutkiem czego mnóstwo dzieci poprzestawać musi na wyuczeniu się czytać i pisać oraz elementarnej znajomości rachunków.

Jedyne na całą gubernią gimnazyum w Żytomierzu, nie jest w stanie pomieścić kandydatów, których bywa zwykle cztery razy więcej niż wakansów. Do szkół Królestwa Polskiego potrzeba mieć specyalne pozwolenie, o które bardzo trudno.

Notujemy te szczegóły dla wiadomości panów pedagogów, którzy zazwyczaj cisną się tam, gdzie są mniej potrzebni, podczas gdy znajdują się okolice, w których byliby bardzo pożądanymi. Czyż tam jest mniej wdzięczne do działania pole, czyż nie jednakowo nam idzie o naukę i kawałek chleba dla synów naszych, zarówno tam jak tutaj i wszędzie.

Już to wogóle u nas kwitnie oddawna przesąd nawet w umysłach takich ludzi, którzy od wszelkich przesądów powinniby być wolni, że każdy opuszczający Warszawę, zagrzebuje się, marnieje i t. p. Naszem zdaniem, kto ma zmarnieć ten zginie nawet i w Warszawie, kto zaś posiada umysł trzeźwy i zdrowo myślący, przy odpowiednim zapasie energii, ten i sam nie zmarnieje i podźwignie wielu.

WIADOMOŚCI Z ZAGRANICY.

*** **Straszna zbrodnia** została spełnioną w Krakowie na osobie matki Michała Bałuckiego komedyopisarza. Staruszka mieszkała zawsze sama nie chcąc osiąść przy synu. Zajmowała parę pokoików przy ulicy Floryańskiej, sąsiednie zaś mieszkanie było niewynajęte. Posługaczka, gdyż stałej sługi nieboszczka nie chciała trzymać, przyszedłszy rano znalazła ją leżącą na ziemi pod łóżkiem.

Widząc ślady krwi, głowę zamordowanej owiniętą dywanikiem, przerażona do najwyższego stopnia, pobiegła do rodziców żony Bałuckiego, mieszkających bardzo blizko.

Morderstwo spełnione zostało w celu grabieży, staruszka bowiem była dość zamożną i utrzymywała się z procentu, co jednak zrabowano, dziś jeszcze nikt nie wie.

Nieboszczka miała lat 70, wątłą budowę i drobny wzrost, osłabiona jeszcze po chorobie, zapewne nawet nie probowała się bronić.

Zbrodnia ta wywołała wielkie wrażenie w mieście, w którem syn zmarłej cieszy się ogólnym szacunkiem i sympatyą.

Sprawcę potwornego morderstwa już ujęto. Jest nim dawna sługa zamordowanej, która się do zbrodni przyznała.

*** **Teatr krakowski** będący stale przez lat dwadzieścia pod światłym kierunkiem p. Koźmiana, zmienił dyrekcyą w ostatnich czasach. Objęli go obecnie i wspólnemi siłami prowadzić zamierzają panowie: Zygmunt Sarnecki, Glikson i Władysław Szymanowski.

Jeżeli pan Glikson, prawdopodobnie kapitalista, zajmie się wyłącznie finansami sceny pozostawiwszy resztę swoim wspólnikom, śmiało powiedzieć można, iż teatr krakowski w dobre ręce się dostał, gdyż zarówno Sarnecki jak Szymanowski zadanie swe pojmują i sumiennie wykonać je potrafią.

Pierwszy z nich, dawny kierownik i współwłaściciel „Echa", zna scenę, gdyż w komedyopisarstwie zdobył sobie jedno z wybitniejszych stanowisk, drugi artysta, ulubieniec warszawskiej publiki, który przez czas swej działalności u nas, odznaczał się zawsze sumienną pracą oraz inteligentnem wystudyowaniem każdej roli.

Że pierwszy z tych panów będzie umiał nadać scenie właściwy kierunek, drugi zaś posiada znakomite reżyserskie zdolności, wiemy o tem wszyscy, rokujemy więc teatrowi krakowskiemu jak najlepszą przyszłość.

*** **Biada pieskom.** Jeżeli moda, która lubi zazwyczaj przebiegać świat cały, drwiąc z oceanów (ponieważ zatonięcia się nie obawia) i odległość dzielącą kraje mało sobie ważąc, zaklimatyzuje się i w naszej półkuli, los pokojowych piesków będzie nie do pozazdroszczenia.

Według najświeższych rozkazów tej kosmopolitycznej monarchini, każda „szanująca się" amerykanka winna prowadzić na wstążeczce młode jagniątko przybrane w czaprak koloru sukni jaką ma jego pani.

Sprawozdawca, bardzo słusznie zapytuje co się stanie z wypieszczonem jagnięciem, gdy wyrośnie na barana, my zaś ubolewamy nad losem piesków, które obecnie śpią na aksamitnych poduszkach nie przewidując jak smutne jutro stanie się ich udziałem.

Może jednak z krzywdą owczego i baraniego rodu, konserwatywna Europa nie pójdzie za przykładem swej młodszej siostry, zawsze jednak dziś jeszcze nie śmiemy powiedzieć king, charlesom, pinczerom i lewresom: możecie spać spokojnie, los wasz zapewniony!

Kto wie co przyniesie im dzień jutrzejszy?...

OD REDAKCYI.

☞ **Tom ósmy pism Alberta Wilczyńskiego, za miesiąc Sierpień już wyszedł i obejmuje:**

Dziecię niedoli i dziecię próżności.

Opowiadanie.

Wydawnictwo to, redakcya przeznaczyła na **premium nadzwyczajne** dla swoich prenumeratorów, obniżając dla nich cenę do **minimum**, bo do połowy ceny księgarskiej.

Cena prenumeracyjna pism Alberta Wilczyńskiego:

Dla prenumeratorów „Tygodnika Mód i Powieści" *w Warszawie:*
za tom kop. **60**; za tomów 12 rs. **7** k. **20**
w Cesarstwie i na Prowincyi wraz z przesyłką pocztową:
za tom kop. **70**; za tomów 12 rs. **8** k. **40**
Dla nieprenumerujących „Tygodnika Mód i Powieści" *w Warszawie:*
za tom rs. **1** k. **20**; za tomów 12 rs. **14** k. **40**
w Cesarstwie i na Prowincyi wraz z przesyłką pocztową:
za tom rs. **1** k. **30**; za tomów 12 rs. **15** k. **60**

Należność prenumeracyjną można wnosić rocznie, półrocznie, kwartalnie, lub też za każdy tom oddzielnie.

Adres: J. K. Gregorowicz, w Warszawie, Widok Nr 3.

ZAWIADOMIENIA.

Mapa poglądowa Królestwa Polskiego, ułożona przez panią Jadwigę z Zakrzewskich Wojcicką, przedstawia sposobem poglądowym całe Królestwo Polskie, pod względem etnograficznym, historycznym, rolnym, leśnym, górniczym, przemysłowym, komunikacyjnym, pod względem hodowli zwierząt domowych, gospodarstwa rybnego, sieci kolei żelaznych, ważniejszych dróg bitych i hydrografii, z oznaczeniem punktu spławności rzek w granicach Królestwa znajdujących się. Cena jej w oprawie do zawieszenia na ścianie, wynosi rs. 15.

☞ Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami.

Дозволено Цензурою. Варшава, 28 Августа 1885 г. Redaktor **J. K. Gregorowicz.** Wydawca **E. Skiwski.** Druk **E. Skiwskiego.** Warszawa, Chmielna Nr 1530 (nowy 26).

Dodatek.

Opis do N-ru 37.

N. 1. Suknia z draperyą à panier.

Model do ryc. 1 przedstawiał ładne połączenie materyi jedwabnej mienionej bronzowej z żółtem i materyału wełnianego w duże kwiaty. Z tego ostatniego zrobiony jest stanik z krótką baskiną, która z tyłu dopełniona jest stojącemi fałdami, ułożonemi z materyi i wszytemi między szwy pleców. Spódnica jedwabna, ułożona w szerokie kontrafałdy, ozdobiona jest z przodu krótkiem paniers z materyału w kwiaty. Na tylną draperyę upiętą sposobem wskazanym na ryc. 1, trzeba dwóch brytów materyi, 51 cent. szerokich a 120 cent. długich, zakończonych z obydwóch stron ranwersami w kwiaty, mającemi 43 c. dolnej szerokości, z krótszej strony 77, z dłuższej 98 c. długości.

N. 2. Ubranie spacerowe z krótką draperyą fartuszkową.

Przy sukni z satynki w deseń kolorowy, spódnica ułożona jest wkoło w kontrafałdy 8 cent. szerokie, przedzielane naszytemi na odstępach aksamitkami czarnemi, 3 c. szerokiemi. Krótką draperyę fartuszkową układa się z prostego bryta, 80 cent. długiego a 140 szerokiego, z boków skośnie ściętego ku gorze, sfałdowanego i przyszytego pod sutą tylną draperyą, upiętą z długich brytów prostych. Wązkie aksamitki naszyte są sposobem wskazanym na rycinie, na staniku zakończonym z przodu bawetem, z tyłu baskiną ułożoną w kontrafałdy.

N. 3—4. Poduszki na siedzenie do drewnianych ogrodowych krzeseł.

Obiedwie poduszki mające 44 cent. średnicy, robione były na szarej kanwie Aida, włóczką kolorową. Stosowne desenie do roboty krzyżowej znajdują się na arkuszach z krojami, dodawanych do Tygodnika Mód. Poduszkę płasko wysłaną podszywa się od spodu wełnianym pluszem, oszywa z brzegów torsadką z małemi pomponami w kolorach haftu i przywiązuje się do poręczy i przednich nóg stołka sznurem z kwastami.

N. 3. Poduszka ozdobiona haftem krzyżowym i ściegiem pojedyńczym.

Szlak 43 krzyżyki szeroki przecina poduszkę skośnie przez środek, a po bokach wyszyte 2 duże i 4 małe gwiazdy. Haft robiony był dwoma zielonemi, ponsowemi i niebieskiemi cieniami włóczki hamburgskiej.

N. 4. Poduszka haftowana ściegiem wypukłym. Próbka i opis roboty ryc. 22—23 w N. 31 Tyg. Mód.

Pięć dużych gwiazd mających po 42 ściegi i cztery małe mające tylko po 20 ściegów wszerz i wzdłuż, zapełniają powierzchnię poduszki. Do roboty gwiazd małych służyła bawełna jak do roboty pończoch ze znakiem M, D, C, N6, w kolorze niebieskim, ponsowym i blado zielonym, do gwiazd dużych dodany był kolor grochowo żółty.

N. 5. Koronka szydełkowa, robiona z szarych nici, a cerowana i obrobiona ząbkami bawełną ponsową.

N. 6. Roleta. Haft z aplikacyą. Część deseniu na ryc. 26 w N. 38.

Dwa niezwykłego rodzaju oryginalne szlaki, zdobią roletę 170 cent. długą a 116 cent. szeroką. Dla braku miejsca nie możemy dać całego deseniu; część tylko takowego podajemy w naturalnej wielkości na ryc. 26 w N. 38, ażeby dać dokładne wyobrażenie jak robota jest efektowną a zarazem łatwą. Tło pod szlaki haftowane stanowią 23 cent. szerokie pasy z białego cienkiego płótna, a pas środkowy 42 cent. szeroki, jest z płótna ècru, które służy także na aplikacyę. Figury aplikacyi przyszyte są do tła i żyłki i cienie wyszyte ściegiem sznureczkowym cienkim jedwabiem ècru, a brzegi obwiedzione nitką złotą, przeszywaną przez wierzch jedwabiem złotego koloru. Przy twarzach ludzi i aniołów, przy ręku i nogach tych ostatnich, nie daje się obwódki złotej. Staranne wycięcie i oszycie figur, zwłaszcza gdzie tło widoczne cień jasny oznacza, stanowi piękność roboty. Końcow nitek złotych nie trzeba przeciągać na lewą stronę, tylko zamocować i przyciąć z prawej strony. Brzegi dolne i zewnętrzne szlaków zakończa obrąbek 1 cent. szeroki, przyszyty kratką, a brzegi górne i wewnętrzne tychże oraz pas środkowy mają wązkie, zwykłe obrąbki. Wstawki z koronki nicianej, 6 cent. szerokiej, łączą pasy. a brzegi rolety oszyte są koronką 8 cent. szeroką.

N. 7. Spódnica strojna pod suknię.

Model spódnicy robiony był z różowej surah i garnirowany falbankami z walencienki 12 cent. szerokiej. Na gładkiej podszewkowej spódnicy oszytej u dołu 10 cent. szerokiem plisowaniem z surah, przyszyte są u dołu dwa nadmarszczone wolanty 12 cent. szerokie, pokryte walencienką; górną część spódnicy pokrywa falbana z surah, 71 cent. szeroka, mająca 260 cent. obwodu, u dołu walencienką oszyta, a w górze ułożona w fałdy schodzące się z przodu do środka. W odległości 14 cent. od dołu przecinane są otwory podłużne, $2^1/_2$ cent. długie, w odstępach 12 cent. jeden od drugiego, przez które przewłóczy się wstążki kolorowe. Jak to widzimy na rycinie, materya pomiędzy nacięciami jest naprzemian rozsunięta gładko i ściśle ściągnięta pod związaniem wstążek na kokardy; tym sposobem materya układa się w równe fałdy.



N. 1. Suknia podpięta à paniers.

N. 2. Suknia z krótką fartuszkową draperyą.

N. 8 i ryc. 28 w N. 38. Spódnica od kostiumu podróżnego.

Prosto spadająca do dołu fałdzista spódnica à la paysane najdogodniejszą jest do podróżnego kostiumu. Spódnicę podszewkową zwykłej formy oszywa się u dołu 10 cent. szerokiem plisowaniem. Przedni bryt zwierzchniej spódnicy, u dołu 96 cent. szeroki, ku górze do 62 cent. zwężony, jest przez całą długość przypięty z boków na duże guziki do tylnej części spódnicy, która składa się z 3, 100 cent. szerokich brytów, z których około 230 środkowej szerokości, układa się w 28 fałd 8 cent. głębokich, nie rozłożonych płasko, tylko zmarszczonych w sposób wskazany na ryc. 28 w N. 38 i za zwierzchnie zagięcia do paska przyszytych. Spodnie zagięcia fałd nabrać na nitkę dwa razy i do dołu nagiąć; części pozostałe z boków zmarszczyć. Następnie ułożyć równo fałdy zwierzchu, jak na ryc. 8, i kilka razy podszyć od spodu tasiemką, żeby się nie rozrzucały. W odstępie 10 cent. od dołu, wmiejsce garnirunku, przestębnować spódnicę w małych równych odstępach 12 razy.

N. 9. Szlak w guście rzymskim do serwet i t. p. Haft ściegiem plecionym. Próbki roboty na r. 23 i 24 w N. 38.

Model do ryc. 8 wzięliśmy ze starych haftów rzymskich na płótnie. Oprócz zwykłego ściegu sznureczkowego i płaskiego, użyty jest ścieg krzyżowany zadziergiwany zwierzchu trzy razy, którego powiększoną próbkę dajemy na ryc. 23 w N. 38 i nowy rodzaj podwójnego ściegu łańcuszkowego, do którego próbka na ryc. 24. Do ściegu sznureczkowego, którym wszędzie robione są kontury, i do muszek robionych ściegiem płaskim w szlaczkach prostych brzeżnych użyte były nici niebieskie, a do reszty haftu nici białe. Ścieg cztery razy krzyżowany, użyty do wyszycia szlaków prostych i wstążek wijących się przez cały deseń, opisany był w r. 1881. Do wszystkich tych ściegów potrzebny jest deseń, na którym będą oznaczone punktami miejsca, gdzie trzeba wkładać i wyjmować igłę przy każdej kolei ściegów. Najjaśniejszym cieniem oznaczony jest na ryc. 23 kierunek pierwszego rzędu ściegów zapełniających liście deseniu; w drugim rzędzie oznaczonym drugim cieniem, trzeba uważać ażeby ściegi zawsze równo przecinały nitki pierwszego rzędu. Nieco trudniejsze jest wykonanie trzeciego rzędu, oznaczonego najciemniejszym cieniem, który przeplata poprzedzające rzędy w górze i u dołu; tutaj trzeba ściśle zachować wskazany na próbce kierunek ściegów i pamiętać, ażeby ścieg, stanowiący drugie przewiązanie, był brany skośnie, a zwierzchu wypadał w środku skrzyżowania poprzedzających rzędów. Ścieg podwójny łańcuszkowy, zapełniający wiązanie liści, wskazuje dokładnie powiększona próbka ryc. 24.

N. 12. Wyszycie na tle siatkowem robionem fabrycznie.

Różnej grubości siatki białe i niewarowe, wyrabiane fabrycznie, nadają się doskonale na tła na serwety, poduszki i t. p., na których wykonać można różne rodzaje wyszycia lub aplikacyi. Ryc. 12 przedstawia próbkę roboty na takiej białej kanwie; tło podzielone jest w kwadraty ściegiem krzyżowym, obwiedzionym z dwóch stron długiemi ściegami, robionym w dwóch rzędach, idących tam i napowrót, jedwabiem oliwkowym. Środki kwadratów zapełniają gwiazdy robione ściegiem pentelkowym; 5 ściegów stopniowanej długości stanowi jeden liść. Gwiazdy robione są rzędami naprzemian jedwabiem jasno i ciemno bronzowym.

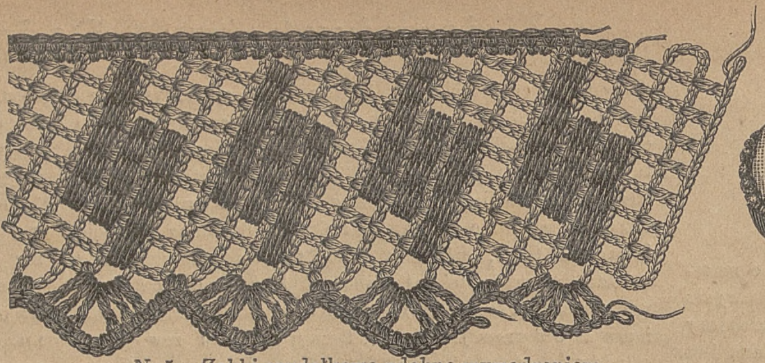
N. 13. Kokarda ze wstążki szerokiej, materyi lub aksamitu, do przypięcia z tyłu na baskinie stanika.

N. 14 i 15. Chustka trójkątna robotą szydełkową.

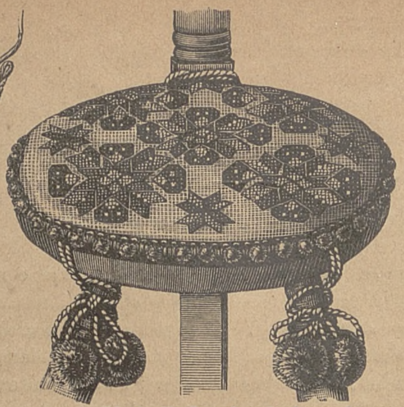
Trójkątną formę chustki robionej ściegiem podanym na próbce ryc. 14, otrzymuje się bardzo łatwym sposobem. Zaczyna się robotę od jednego z dwóch brzegów prostych, łańcuszkiem odpowiedniej długości do wielkości chustki; drugi brzeg prosty tworzy się tym sposobem, że się przy końcu rzędów idących ku lewej ręce, ciągle robi równo, a w rzędach ku stronie prawej, gubi się w końcu na gór-



N. 3. Poduszka do krzesła.

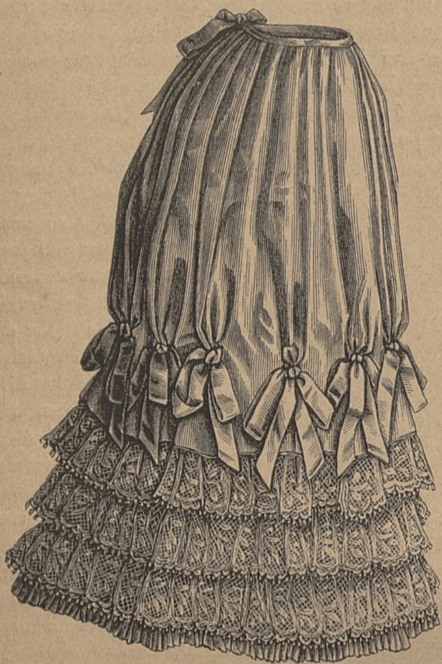


N. 5. Ząbki szydełkowe zdobne wywodzeniem.



N. 4. Poduszka do krzesła.

ny brzeg skośny. W robocie chustki zawsze po rzędzie muszek następuje rząd oczek ścisłych; obadwa zaczynają się 3 o. powietrznemi. Na każdą muszkę zarzuca się na początku nitkę na szydełko, nabiera się 3 pentelki w 3 oczka poprzedzającego rzędu, przeciąga się przez nie i przez zarzuconą nitkę jedną pentelkę, następnie zarzuca się nitkę i przerabia razem z oczkiem zatrzymanem na szydełku, potem robi się 1 o. po-



N. 7. Spódniczka strojna.

wietrzne. Pierwszą pentelkę następnych muszek bierze się zawsze w to samo oczko, co ostatnią muszki poprzedzającej, dalsze w dwa następujące oczka. Gubienie wykonywa się na końcu każdego rzędu o. ścisłych, biorąc na szydełko 3 oczka, jedno w o. pow., drugie w o. muszki, trzecie w ostatnie z 3 oczek powietrznych i przerabiając wszystkie razem; oprócz tego zaczynając następny rząd muszek opuszcza się 1 oczko na początku. Do prostych brzegów skończonej chustki można dodać frendzlę wiązaną, albo obrobić je ząbkami szydełkowemi.



N. 6. Stora zdobna aplikacyą. Deseń szlaku w N. 38.

N. 18. Serweta lub kapa. Robota mozajkowa; zobaczyć próbkę na ryc. 20 w N. 38.

Z małych kawałków materyi jedwabnej lub wełnianej, jakie zebrać można w każdym domu, możemy zrobić ładną serwetę lub kapę



N. 8. Spódnica od kostiumu podróżnego.

Dobiera się harmonijnie kawałki różnego kształtu i koloru, układa takowe na płóciennej podszewce tak, ażeby brzegi zachodziły na siebie na pół cent. i zeszywa przed igłą albo ściegiem obrąbkowym. Zeszycia pokrywa szeroki ścieg cierniowy, wyszyty filozelą nierozdzielaną w dwóch, jeden w drugi wchodzących kolorach; takąż filozelą wyszyte są gałązki na tle. Serweta przedstawiona na ryc. 18 składa się z pasów robionych na

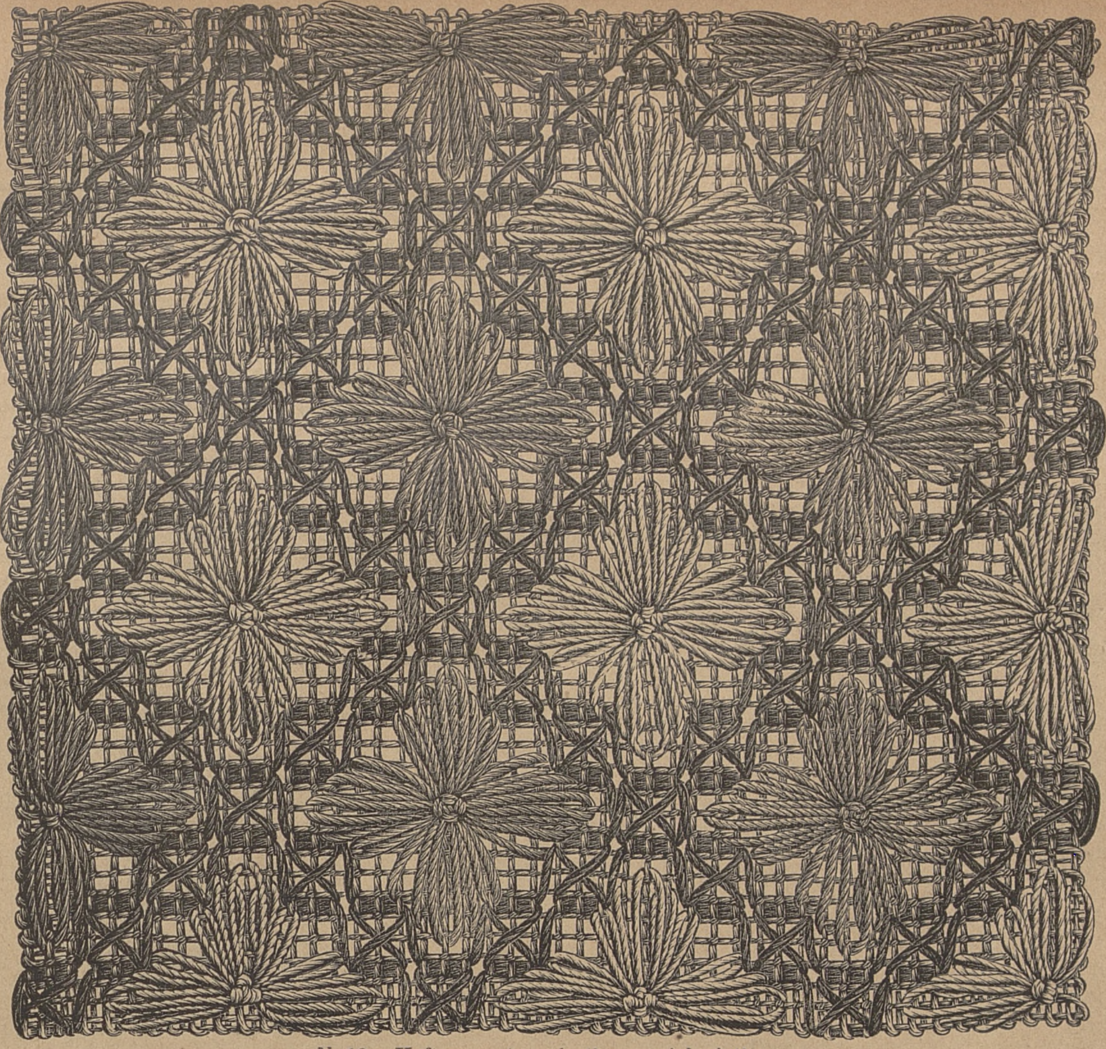


N. 9. Szlak w guście rzymskim.

warsztaciku ręcznym tkackim, z jedwabnej skubanki przędzonej w grube nici, przedzielanych pasami z mozajki jedwabnej, z której dany jest także szlak wokoło.



N. 10. Kapotka z koronki crême. Opis w N. 38.

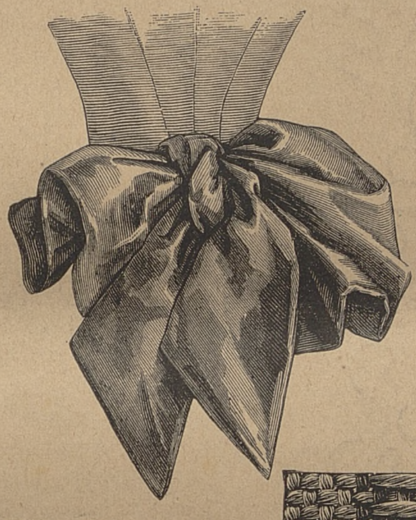


N. 12. Haft na materyale tkanym jak siatka.

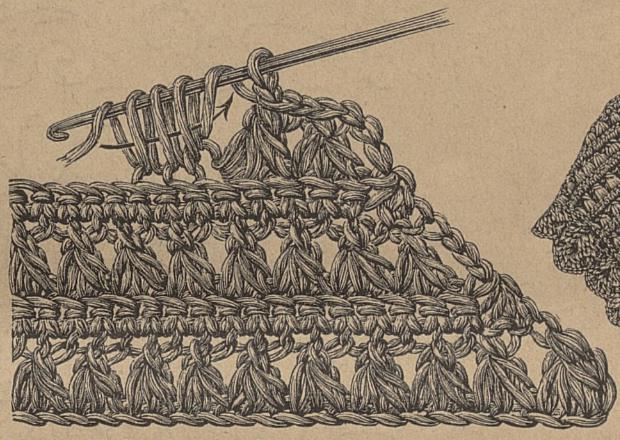
kich, odrysowanych na płótnie i zaczętych dla wskazania rodzajów ściegów, dostać można w pracowni p. Matyldy Jörres w Monachium.



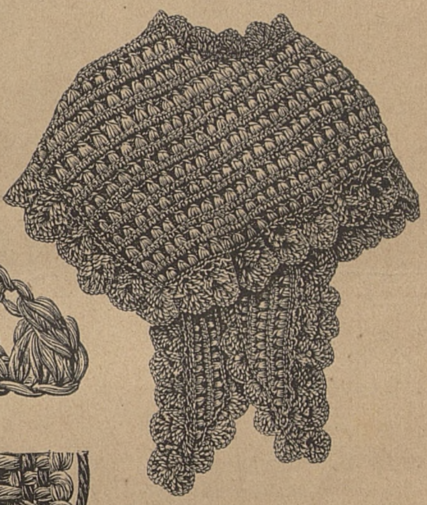
N. 11. Kapotka z czarnego tiulu.



N. 13. Kokarda do ozdoby stanika, przypięta z tyłu na baskinie.



N. 14. Wzór roboty szydełkowej do ryc. 15.



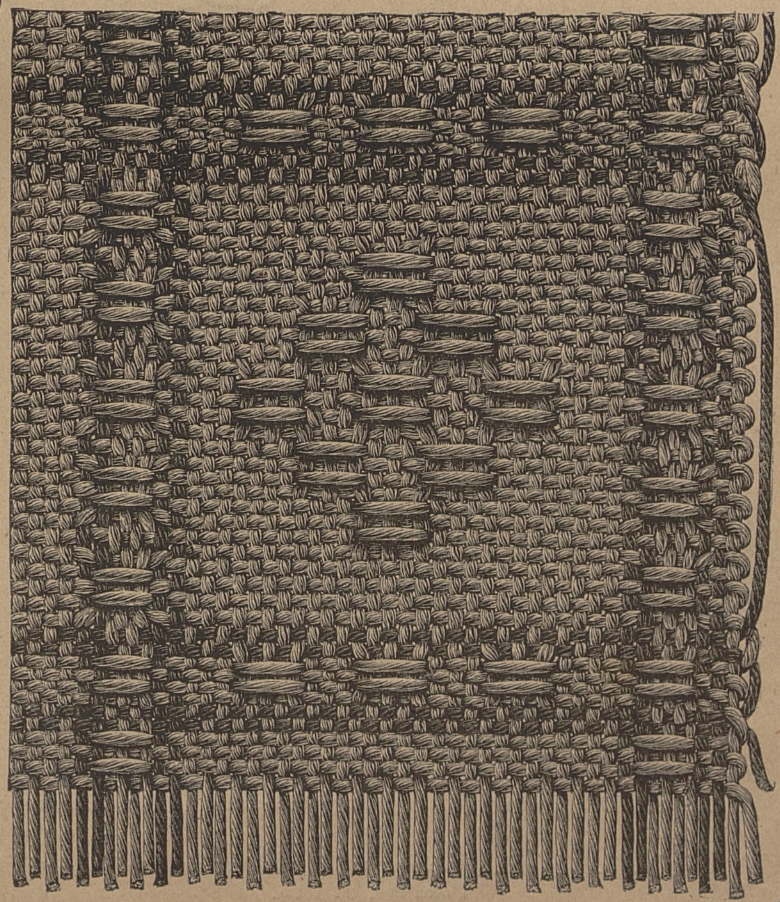
M. 15. Chusteczka szydełkowa trójkątna. Patrz ryc. 14.

N. 21. Duża serweta. Haft w starodawnym stylu na płótnie.

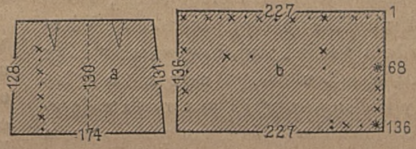
Model wzięty ze starożytnego wzoru serwety kościelnej przedstawia cały świat widzialny. W środku słońce, księżyc, gwiazdy, a wokoło ziemia i wiatry w czterech kierunkach, dalej wszystkie twory martwe i żyjące na ziemi, w wodzie i w powietrzu. Arabeski otoczone są liśćmi przedstawiającemi świat roślinny, dalej w zdaniach łacińskich, odnoszących się do Boga, umieszczone są zwierzęta, ptaki, ryby i płazy. Dla braku miejsca nie możemy podać deseni ani szczegółowego opisu haftu robionego na płótnie bawełną bronzową, niebieską, ponsową i białą. Serwet ta-



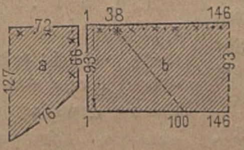
N. 16. Serweta tkana w deseń. Patrz ryc. 17.



N. 17. Część tła serwetki tkanego na warstaciku ręcznym. Patrz r. 16.



N. 19. Wymiar draperyi do ryc. 4 w N. 38.



N. 20. Wymiar draperyi do ryc. 36.

Opis do N-ru 38.

N. 1 i 35. Koronka. Haft na tiulu.

Odpowiednia do przybrania sukien, chusteczek, czepeczków i t. p., może być odrobiona czarno, biało lub kolorowo; wzór jaki daliśmy na ryc. 1, haftowany był na białym tiulu cie-



N. 18. Serweta. Mozajka w guście wschodnim.

niutkiemi nićmi. Kontury deseniu wywiedzione grubą bawełną, odziergane są ściśle, środki zaś figur większych zapełniane różnemi rodzajami kratek koronkowych, listeczki małe są tylko wywiedzione.

Ryc. 35 przedstawia w dużem powiększeniu sposób wykonania, wskazując dzierganie, wywodzenie i jeden rodzaj kratki ażurowej; inne wzory kratek znajdą czytelniczki w dawnych numerach Tygodnika Mód.

N. 2. Sukieneczka z długą bluzką.

Uszyta z jasno niebieskiej satynki i zdobna koroneczką; krótka spódniczka naszyta dwoma falbankami z koronką. Długa luźna bluzka składa się tylko z przodów i plecców, zaszytych w drobne zakładki w materyale zwierzchnim. Rękawki sięgające tylko do łokcia, zaszyte również w zakładki, dopełnione są bufami koronkowemi. Koronka otaczająca szyję spuszczona jest żabotowo wzdłuż przodów; kokardy z kolorowej wstążki.

dowaną szmizetką i ranwersami, w górze 7 cent. szero-
kiemi, zwężonemi do dołu; baskina wycięta w dwa zęby,
szeroko rozchodzące się z przodu. U dołu spódnicy wo-
lant 10 cent.. szeroki, ułożony w kontrafałdy. Na ryc.
19 w N. 37 daliśmy wymiar tuniki, złożonej z dwóch bry-
tów.: *a* oznacza bryt przedni, z jednego boku sfałdowany
i podpięty guzikami. W podpięcie to wstawiony jest klin
plisowany, u dołu 54 cent. szeroki, w górze ściśle zebra-
ny; drugi bok przodu spada bez żadnego podpięcia. Bar-
dzo szeroki tylny bryt *b*, u góry po sfałdowaniu wszywa
się w pasek, z jednej strony lekko podpięty w pukiel od
góry do gwiazdki, niżej zaś aż do dwukropka przy dol-
nym brzegu ściśle sfałdowany; środek bryta z tyłu pod-
pięty kilkoma fałdami.

wzdłuż koronką wełnianą; boczny brzeg przodów sfałdowany zachodzi w górze pod plecki. Tylne upięcie ułożone z dwóch brytów *c*, sfałdowanych podług znaków i upiętych podług ryc. 22 pod sutą kokardą z wstążki. Rękawy i kołnierz ogarnirowane fałdowaną koronką.

N. 6. Stanik zdobny koronką.

Stanik od sukni z żółtawego zefiru, ma baskinę wyciętą z przodu i z tyłu w spiczaste zęby, koronka żółtawa, 15 cent. szeroka, suto namarszczona, podszyta wokoło baskiny i u rękawów. Zwracamy uwagę na szeroki kołnierz, ułożony z kawałka koronki, 25 cent. szerokiej, 120 długiej, u góry zmarszczonej i wszytej w pasek aksamitu



N. 21. Serweta. Haft na płótnie podług starodawnego wzoru kościelnego.

N. 3. Sukieneczka z kaftaniczkiem.

Spódniczka zaszyta w zakładki, przyszywa się do spodniego stanika, do którego również przyszywa się zwierzchu kamizelkę z kawałka atłasu przemarszczonego u góry i u dołu. Kaftaniczek zdobny wielkiemi metalowemi guzikami, ma kołnierzyk stojący 3 cent. szeroki i mankiety atłasowe. Szeroka szarfa związana w sutą kokardę.

N. 4. Suknia z długą tuniką. Patrz ryc. 19 w N. 37.

Ryc. 4 przedstawia suknię z granatowej etaminy z suto fałdowaną tuniką i stanikiem z baskiną, przybranym fał-

N. 5. Suknia z vêtement dla panienki lat 12—14. Patrz ryc. 22 i 25.

Ryc. 5 i 22 przedstawia przód i plecy sukni, której spódnica ułożona w kontrafałdy 8 cent. szerokie. Vêtement podpięte z przodu à paniers, dopasowywa się podług dobrej formy stanika i wymiaru danego na ryc. 25. Na literze *a* wskazujemy krój podszewki i materyału zwierzchniego, który pod szyją i na wcięciu stanu przemarszcza się kilkakrotnie podług linii cienkich, o tyle aby przody rozchodząc się odsłaniały kamizelkę atłasową, naszytą 4 cent. szeroki; na ramionach koronka zebrana jest w fałdy i podpięta kokardami.

N. 7. Stanik z baskiną wyciętą w patki.

Przy spódnicy jedwabnej z bogatą koronkową draperyą, włożony stanik z ciemnego aksamitu, sznurowany z tyłu; u góry pod szyją dany rodzaj plastronu z haftu złotego, otoczony bufami koronkowemi; takiż kołnierz stojący, 4 cent. szeroki. Baskina wycięta w patki 5 cent. szerokie. Rękawy sięgające do łokcia wycięte w patki spadające na bufę koronkową.

(D. n.)